Broń ekonomiczna: Czy sankcje to nowa forma totalnej wojny?

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje naturę współczesnych sankcji ekonomicznych, kwestionując ich postrzeganie jako łagodnej alternatywy dla konfliktu zbrojnego. Autor, odwołując się do prac Nicholasa Muldera, śledzi ewolucję mechanizmów blokadowych od I wojny światowej po dzisiejszą erę cyfrową. Tekst ukazuje, jak biurokratyczne narzędzia, takie jak czarne listy czy odcinanie od systemów płatniczych, stały się nowoczesną formą oblężenia systemowego. Przeanalizowano koncepcję 'weaponized interdependence' oraz rolę infrastruktury finansowej i technologicznej w projektowaniu globalnej dominacji. Artykuł rzuca światło na etyczne i humanitarne koszty biurokratycznej przemocy, która pod płaszczem procedur potrafi niszczyć całe społeczeństwa, zachowując przy tym pozory cywilizowanego pokoju.

This article examines the nature of contemporary economic sanctions, challenging their perception as a benign alternative to armed conflict. Drawing on the work of Nicholas Mulder, the author traces the evolution of lockdown mechanisms from World War I to today's digital era. The article demonstrates how bureaucratic tools such as blacklisting and payment system shutdowns have become a modern form of systemic siege. It examines the concept of "weaponized interdependence" and the role of financial and technological infrastructure in engineering global domination. The article sheds light on the ethical and humanitarian costs of bureaucratic violence, which, under the guise of procedural power, can destroy entire societies while maintaining the appearance of civilized peace.

Współczesny system sankcji gospodarczych, często przedstawiany jako humanitarna alternatywa dla wojny kinetycznej, w rzeczywistości stanowi wyrafinowaną formę przemocy instytucjonalnej. Wywodząc się z brutalnej logiki blokad morskich Wielkiej Wojny, dzisiejsze restrykcje przekształciły się w globalną technologię władzy, która

maskuje swój niszczycielski charakter językiem procedur, compliance i administracyjnej neutralności. Artykuł analizuje, dlaczego sankcje – mimo swojej pozornej sterylności – są w istocie aktami redystrybucji cierpienia, które rzadko prowadzą do zmiany polityki agresora, a często stają się katalizatorem blokadofobii. Autorzy wskazują na niebezpieczny paradoks: im bardziej sankcje stają się „precyzyjne" i „biurokratyczne", tym głębiej cementują narrację oblężonej twierdzy w państwach sankcjonowanych. Tekst stawia tezę, że współczesna geoekonomia to nowa gramatyka totalnej wojny, w której kontrola nad globalną infrastrukturą finansową i technologiczną zastępuje tradycyjne pole bitwy. Zrozumienie tego mechanizmu pozwala dostrzec, że administracyjna pewność własnej cnoty, towarzysząca nakładaniu restrykcji, jest często jedynie zasłoną dymną dla bezradności politycznej, która zamiast budować pokój, utrwala stan permanentnej, niewidzialnej konfrontacji.

SŁOWA KLUCZOWE

sankcje ekonomiczne | wojna totalna | Nicholas Mulder | weaponized interdependence | geoekonomia | blokada morska | systemy płatnicze | łańcuchy dostaw | półprzewodniki | Artykuł 16 Paktu Ligi Narodów | shadow fleet | redystrybucja cierpienia | infrastruktura finansowa | biurokracja | blokadofobia

Sankcje jako biurokratyczna maska dla wojny totalnej

Istnieje stara polityczna fantazja, która w swoim nowoczesnym kostiumie wydaje się szczytem cywilizacyjnego postępu, choć w istocie pozostaje głęboko archaiczna. Głosi ona, że można rzucić przeciwnika na kolana bez brudzenia rąk krwią, ponieważ w świecie zdominowanym przez banki, telegrafy i formularze celne przemoc nie potrzebuje już błysku szabli. Wystarczy przecież skrupulatnie prowadzony rejestr, zakaz transferu, czarna lista czy zamrożenie aktywów, by dawne oblężenie miasta zmieniło się w oblężenie systemowe. Miasto nie musi być już otoczone fizycznym murem, skoro można je po prostu odłączyć od kredytu, paliwa, żywności i leków za pomocą jednego kliknięcia w terminalu płatniczym. W tym sensie sankcje nie są wynalazkiem łagodniejszej polityki, lecz raczej polityki, która nauczyła się zabijać przy zachowaniu nienagannych manier. Nicholas Mulder ujął to w sposób historycznie bezlitosny, wskazując, że narzędzie nierozłączne ze stanem wojny zostało w XX wieku zinstytucjonalizowane jako rzekomo pokojowa metoda zarządzania

światem. Nie należy więc pytać naiwnie, czy sankcje stanowią alternatywę dla wojny, lecz trzeba dociekać, jaką postacią wojny są w rzeczywistości i jakim językiem maskują własną brutalność.

Początek tej opowieści nie tkwi wcale w moralnej wzniosłości międzynarodowego prawa, lecz w biurokratycznej rewolucji, która dokonała się w ogniu Wielkiej Wojny. W latach 1914–1917 brytyjska i francuska machina blokadowa przestała być prostym, morskim odcięciem przeciwnika, przeobrażając się w system globalnego zarządzania przepływami. Sankcjonizm, czyli doktryna uznająca, że w zintegrowanej gospodarce każdy przepływ handlowy jest narzędziem politycznym, stał się fundamentem tego nowego myślenia. Towar przestał być wówczas zwykłą rzeczą, stając się nośnikiem strategicznego ryzyka, którego nie wolno było ignorować. Neutralny importer nie jawił się już jako zwykły kupiec, lecz jako potencjalny kanał reeksportu, który należało poddać ścisłej, statystycznej inwigilacji. Bank z kolei przestał być jedynie pośrednikiem w transakcjach, stając się kluczowym elementem infrastruktury wojennej. Brzmi to jak biurokratyczny koszmar? Bo nim jest, ale to właśnie ten koszmar położył podwaliny pod nowoczesny ład międzynarodowy.

W tamtym przełomowym momencie transport morski, reasekuracja, bunkrowanie statków oraz dokumentacja ładunków zostały zespolone w jeden gigantyczny aparat nacisku. To właśnie wtedy narodził się model, który dekady później będzie przedstawiany jako sankcja pokojowa, choć w rzeczywistości wykiełkował z logiki dławiącej wojny totalnej. Nieprzypadkowo Mulder oraz inni badacze podkreślają z uporem, że nowoczesne sankcje są dzieckiem blokady, a nie salonu arbitrażowego czy etycznych debat. Źródłem ich skuteczności nigdy nie była sama norma prawna, lecz infrastrukturalna centralność mocarstw kontrolujących morza, finanse i globalną komunikację. Geoekonomia, czyli praktyka wykorzystywania narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi strategicznej, pozwalała na projektowanie dominacji bez wystrzału z armaty. Współczesna literatura o „weaponized interdependence” opisuje niemal identyczny mechanizm, tyle że osadzony w realiach sieci cyfrowych i skomplikowanych łańcuchów dostaw.

Dzisiejsze centra płatności, produkcja półprzewodników, logistyka morska i usługi ubezpieczeniowe odgrywają rolę analogiczną do tej, którą sto lat temu pełniła Royal Navy. Fundacja Dobre Państwo, analizując współczesną wojnę o chipy, trafnie ujmuje ten mechanizm językiem teraźniejszym, wskazując na totalny charakter tych działań. Sankcja technologiczna okazuje się najskuteczniejsza tam, gdzie kontroluje cały łańcuch wartości, od fizycznego sprzętu, przez serwis, aż po unikalną wiedzę wykonawczą. To jest dokładnie ta sama logika, którą stosowali brytyjscy urzędnicy w 1916 roku, tyle że dziś operuje ona na krzemie zamiast na zbożu i na kodzie binarnym zamiast na węglu. Przemoc, która przebrała się za procedurę, nie przestała być przemocą tylko dlatego, że jej egzekucja odbywa się w klimatyzowanych biurach. Można wręcz odnieść wrażenie, że im bardziej sterylny staje się język tych restrykcji, tym bardziej niszczycielskie są ich realne, fizyczne skutki.

Gdy zatem analizujemy narodziny sankcji w latach 1917–1919, musimy zachować głęboki sceptycyzm wobec uroczystej narracji o triumfie prawa i pokoju. Owszem, konferencja paryska i Pakt Ligi Narodów dokonały pewnego przełomu, zwłaszcza poprzez słynny Artykuł 16, który uczynił z gospodarczego ostracyzmu instrument systemowy. Jednak ten przełom nie polegał na odkryciu nowej, bezprzemocowej etyki, lecz na sprytnym, jurydycznym oddzieleniu ekonomicznego przymusu od formalnego stanu wojny. Był to ruch cywilizacyjnie doniosły i moralnie niebezpieczny zarazem, ponieważ pozwalał wierzyć w czystość działań, które w praktyce niszczyły całe społeczeństwa. Państwa mogły odtąd nakładać środki przerywające relacje handlowe i logistyczne, twierdząc jednocześnie, że nie stają się stroną konfliktu w klasycznym sensie. Właśnie ten pomysł, ta swoista prawnicza ekwilibrystyka, przetrwał w niemal niezmienionej formie do naszych czasów, stanowiąc fundament współczesnych reżimów restrykcyjnych.

W Karcie Narodów Zjednoczonych, a konkretnie w jej Artykule 41, widać uderzającą ciągłość tej konstrukcji myślowej, która pozwala Radzie Bezpieczeństwa na stosowanie środków niewymagających użycia siły zbrojnej. Prawo międzynarodowe uznało tym samym, że istnieje ogromna, szara strefa przymusu znajdująca się poniżej progu kinetycznego, w której można operować bez ograniczeń właściwych dla wojny. Dzisiejsze unijne i amerykańskie systemy sankcyjne są jedynie rozwinięciem tej architektury, a amerykański OFAC wprost opisuje je jako pełnowymiarową technologię władzy. Nie jest to bynajmniej instrument poboczny czy uzupełniający, lecz centralny element nowoczesnego zarządzania konfliktami, który operuje na mieniu i prawach jednostek. W epoce nowoczesnej nic nie bywa bardziej groźne niż administracyjna pewność własnej cnoty, zwłaszcza gdy idzie ona w parze z potężnym aparatem urzędniczym. Brzmi to jak ostrzeżenie? Słusznie, bo mechanizm ten rzadko kiedy podlega realnej, demokratycznej kontroli.

W tym miejscu trzeba wprowadzić pierwszą zasadę interpretacyjną, bez której cały ten temat zamienia się w jałową, urzędową propagandę. Sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz jest przede wszystkim aktem redystrybucji cierpienia, zmieniającym rozkład kosztów w czasie i przestrzeni. Zamiast widowiskowej eksplozji na froncie, otrzymujemy pełzającą inflację niedoboru, załamanie przewidywalności rynkowej oraz gwałtowny wzrost premii za ryzyko. Skutki te obejmują pękanie kanałów płatniczych, dekapitalizację całych sektorów gospodarki oraz nieliniowe, często tragiczne konsekwencje dla grup cywilnych. Właśnie dlatego retoryka sterylności i „precyzyjnych uderzeń” jest tak głęboko podejrzana, gdyż sugeruje nam, że przemoc jest mniejsza tylko dlatego, że stała się mniej widowiskowa. To trochę tak, jakby biurokrata patrzył na odcięcie dostaw insuliny i z ulgą stwierdzał, że przynajmniej nic nie wybuchło. Absurd tej ulgi jest oczywisty, lecz historia pokazuje, że polityczne elity wielokrotnie właśnie w ten sposób uspokajały własne sumienia.

Neutralność techniczna biurokracji, czyli ta specyficzna forma nowoczesnej przemocy instytucjonalnej polegająca na tworzeniu barier proceduralnych, służy tu jako idealna maska. Mulder zauważa, że administracyjna forma nie unieważnia cierpienia, a jedynie czyni je mniej widzialnym i przez to politycznie wygodniejszym. Ten język technokratycznej neutralności pozwala decydentom na zachowanie dystansu wobec ruin, które ich decyzje sieją w odległych gospodarkach. Polityka sankcji zbyt często myli cierpienie z posłuszeństwem, zakładając błędnie, że deprywacja automatycznie prowadzi do zmiany postaw politycznych. Nie każda przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze i posługiwać arkuszem Excela, stała się przez to cywilizowana czy humanitarna. Wręcz przeciwnie, jej biurokratyczny charakter sprawia, że staje się ona trudniejsza do zidentyfikowania i powstrzymania, co czyni ją narzędziem niezwykle groźnym.

Stąd bierze się dramatyczna doniosłość okresu lat 1919–1921, który E.D. Morel nazwał niezwykle trafnie „wojną w czasie pokoju". Po oficjalnym zawieszeniu broni nie wygaszono bowiem logiki blokadowej, lecz użyto jej dalej wobec społeczeństw już i tak skrajnie wycieńczonych konfliktem. Był to moment, w którym pozór pokoju zaczął współistnieć z brutalną realnością ekonomicznego oblężenia, a granica między tymi dwoma stanami została świadomie rozmyta. Dla jednych był to pragmatyczny środek stabilizacji ładu powojennego, dla innych zaś moralny skandal polegający na prowadzeniu działań śmiertelnych bez odwagi nazwania ich wojną. Współczesny paradygmat naukowy nie odchodzi od tej diagnozy, lecz raczej ją doszczelnia, analizując skutki i skuteczność podejmowanych działań. Rozróżnienie to pozwala uniknąć politycznego samooszukiwania się i dostrzec, że wywołanie strat gospodarczych rzadko idzie w parze z realną zmianą polityki przeciwnika. Badania coraz mocniej akcentują koszty humanitarne i zmiany w strukturach władzy, które często okazują się odwrotne do zamierzonych. Nawet autorzy przychylni sankcjom muszą dziś przyznać, że ich długofalowe, zewnętrzne efekty są znacznie większe, niż przez lata skłonni byliśmy sądzić.

Pułapka pomiaru: Dlaczego mylimy huk sankcji z trafieniem?

Rdzeń argumentu Muldera okazuje się dziś zdumiewająco aktualny. Nie wystarczy bowiem mierzyć sankcji pytaniem o compliance, czyli o to, czy podmiot sankcjonowany pokornie podporządkował się żądaniu nadawcy. Jest to miara nie tylko zbyt wąska, ale wręcz politycznie samooszukująca. Współczesne opracowania dotyczące reżimów unijnych wyraźnie pokazują, że sama metodologia oceny stała się polem sporów. Badania nad unijnym reżimem sankcji za naruszenia praw człowieka podkreślają, że tradycyjna ewaluacja zbyt długo skupiała się wyłącznie na wymuszaniu

posłuszeństwa. Dziś jednak rośnie znaczenie szerszego spojrzenia, obejmującego projekt prawny, faktyczny wpływ oraz współpracę instytucjonalną.

Ten ruch metodologiczny stanowi w istocie nowoczesne sformułowanie intuicji Muldera. Musimy wreszcie oddzielić skutki od skuteczności, czyli dokonać rozróżnienia między wywołaniem strat a zmuszeniem przeciwnika do zmiany polityki, odzierając wywód z dramaturgii. Sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia, który może dewastować tkankę społeczną, nie osiągając przy tym celu strategicznego. Może ona działać na polu sygnalizacyjnym lub koalicyjnym, nie zmieniając przy tym kursu adresata. Jeżeli tego nie rozróżniamy, mylimy huk wystrzału z celnym trafieniem, co w polityce gospodarczej bywa ulubionym sportem elit. Brzmi gorzko? Dobrze. Ma brzmieć gorzko.

Koniec neutralności: Gdy współzależność staje się bronią

Nie sposób pominąć kwestii neutralności, która od dekad stanowi jedno z najbardziej fascynujących pól walki pojęciowej w całej historii międzynarodowych restrykcji. Tradycyjna doktryna broniła wszak tezy, że handel można depolityzować, przyznając państwom trzecim prawo do swobodnego utrzymywania relacji z obiema walczącymi stronami. Sankcjonizm, czyli doktryna uznająca każdy przepływ handlowy za narzędzie polityczne, twierdzi jednak coś odwrotnego, bowiem w warunkach integracji każdy transfer staje się potencjalnym zasileniem agresji. W tej optyce klasyczna neutralność jawi się jako niebezpieczna fikcja lub luksus cudzej wojny, przy czym granica między wsparciem a handlem ostatecznie zanika.

U podstaw tego sporu leży przemiana kapitalizmu, w którym gospodarka przestała być sferą dającą się sterylnie oddzielić od kwestii suwerenności oraz bezpieczeństwa, stając się natomiast polem dyscypliny geopolitycznej. To zjawisko powraca dziś pod szyldem geoekonomii, polegającej na wykorzystywaniu narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi strategicznej. Współzależność nie zniknęła, lecz została uzbrojona, co najlepiej obrazuje spór o półprzewodniki, systemy płatnicze oraz dostęp do zaawansowanych maszyn. Ta walka o chipy to nowa wersja starcia między neutralnością a sankcją, angażująca sieci produkcyjne o złożoności, której nie znała Liga Narodów. Brzmi to bezwzględnie? Dobrze. Sankcja nie jest bowiem po prostu aktem zakazu; jest aktem redystrybucji cierpienia.

Paradoks sankcji: Od blokadofobii do szkoły odporności

Na tym tle wyłania się problem bodaj najbardziej przewrotny, w którym lekarstwo zaczyna karmić samą chorobę. Choć sankcje mają odstraszać od agresji, historia uczy, że potrafią one tworzyć warunki do jej wybuchu. Zjawisko to Mulder opisał jako blokadofobię, czyli zespół strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega przyszłe odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie. Kiedy elity uznają, że grozi im strategiczne uduszenie, wchodzą w logikę rozpaczliwej preempcji, wybierając wojnę dziś zamiast agonii jutro. Wszak polityka sankcji zbyt często myli cierpienie z posłuszeństwem.

Współczesny krajobraz dostarcza dowodów na tę ewolucyjną zwinność podmiotów poddanych przemocy, która przybrała formę procedury. Zamiast zatrzymania przepływów, pułap cenowy na ropę sprowokował rozkwit „shadow fleet", operującej w szarej strefie globalnego handlu. Parlament Europejski opisuje te pajęczyny złożonych struktur własnościowych, przy czym kluczową rolę odgrywa tu zaciemnianie pochodzenia ładunków. Toteż nacisk gospodarczy nie tylko ogranicza, ale i stymuluje innowację w omijaniu barier oraz budowę alternatywnych ekosystemów. Sankcja staje się przez to nie tylko karą, lecz szkołą odporności dla podmiotu sankcjonowanego. Brzmi to ostro, ale tak ma brzmieć.

Sankcje jako nowa forma totalnej wojny w przebraniu administracji

Czy powinniśmy zatem odrzucić sankcje jako narzędzie z definicji jałowe lub zbrodnicze? Taka konstatacja byłaby intelektualnie zbyt wygodna, a w tym obszarze każda wygoda powinna budzić naszą natychmiastową podejrzliwość. Z jednej strony współczesne instytucje międzynarodowe, z Unią Europejską na czele, z uporem godnym lepszej sprawy przekonują, że sankcje to jedynie legalne narzędzie pokojowej presji. Podkreślają one istnienie humanitarnych wyłączeń, czyli tak zwanych carve-outs, które mają chronić dostęp do leków czy żywności, co usankcjonowała rezolucja Rady Bezpieczeństwa nr 2664. To ważna korekta, której nie wolno bagatelizować, niemniej sama jej konieczność stanowi milczące przyznanie się do winy. Gdyby sankcje były rzeczywiście sterylne i precyzyjne, nikt nie musiałby mozolnie wykuwać w nich humanitarnych wyłomów. Prawo nie buduje przecież tamy przeciw zjawisku, które w rzeczywistości nie istnieje.

Sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia, uformowanym przez wieki jako reżim zarządzania współzależnością. Łączy ona w sobie ekonomię, prawo i antropologię polityczną w sposób tak ciasny, że trudno oddzielić intencję od skutku. Ekonomię, ponieważ brutalnie przekształca ceny, premie ryzyka i całą architekturę globalnych łańcuchów dostaw, zmuszając rynki do pracy na rzecz polityki. Prawo, ponieważ redefiniuje granice między pokojem a wojną, czyniąc z neutralności formę współudziału, a z przymusu – administracyjną rutynę. Wreszcie antropologię polityczną, gdyż produkuje ona określone wyobrażenia o czystości, winie i karze, budując obraz wroga, którego należy odciąć od krwiobiegu cywilizacji. Stąd bierze się jej niszczycielska siła i stąd płynie jej największe niebezpieczeństwo.

Sankcje nie są bowiem wyłącznie instrumentem technicznym, lecz opowieścią o tym, kto rości sobie prawo do duszenia świata w imię wyższego ładu. W epoce nowoczesnej nic nie bywa bardziej groźne niż administracyjna pewność własnej cnoty, która nie znosi sprzeciwu. Urzędnik z pieczątką i moralnym samozadowoleniem bywa czasem bardziej radykalny niż generał na froncie, ponieważ generał przynajmniej zachowuje świadomość, że prowadzi wojnę. Biurokrata sankcyjny woli wierzyć, że on jedynie reguluje, optymalizuje i zarządza zgodnością, czyli compliance. A kiedy człowiek wierzy, że jedynie nanosi poprawki w arkuszu kalkulacyjnym, potrafi zniszczyć całe społeczeństwo z miną księgowego korygującego niefortunny przecinek. Brzmi ostro? Dobrze. Ma brzmieć ostro.

Na tym właśnie polega siła książki i analiz Nicholasa Muldera, które pokazują, że historia sankcji nie jest jedynie przypisem do historii wojen. Jest to raczej historia przemocy, która z czasem nauczyła się mówić nienagannym językiem legalności, zarządzania i moralnej higieny. Dzisiejszy paradygmat badawczy w pełni potwierdza tę intuicję, uszczegóławiając mechanizmy takie jak shadow fleet czy export controls. Badania nad uzbrojoną współzależnością dowodzą, że nie żyjemy wcale po epoce wielkich blokad, lecz w jej najbardziej dojrzałej, niemal barokowej fazie. Współczesny świat nie porzucił broni gospodarczej, lecz ją zminiaturyzował, usieciowił i opakował w procedury, które mają uśpić naszą czujność. Arsenał nie zniknął, zmienił tylko swój interfejs na bardziej przyjazny dla użytkownika w garniturze.

Pierwsza faza historii sankcji polegała na wynalezieniu blokady jako narzędzia wojny totalnej, druga na jej jurydycznym oddzieleniu od stanu wojny, a trzecia na nadaniu jej wzniosłej funkcji policyjnej. To właśnie tutaj rodzi się jedna z najistotniejszych fikcji nowoczesnego ładu międzynarodowego, którą musimy wreszcie zdemaskować. Fikcja ta głosi, że świat może dysponować przemocą zbiorową, która nie jest wojną, lecz jedynie administracyjnym przywracaniem porządku. Dawny, krwawy najazd miał zostać wyparty przez publiczną egzekucję normy, a przemoc państwowa miała ustąpić miejsca legalnej akcji wspólnoty przeciwko sprawcy

naruszenia. Sankcja gospodarcza stała się tutaj narzędziem niemal metafizycznym, mającym być jednocześnie karą, pedagogiką i dowodem moralnej jedności cywilizowanego świata.

W tej idealistycznej konstrukcji Liga Narodów nie była zwykłą organizacją, lecz hybrydą trybunału, policji i zbiorowego sumienia ludzkości. Problem polegał na tym, że sumienie pozbawione realnej mocy zbrojnej zaczęło marzyć o wszechmocy ekonomicznej, wierząc, że handel sam w sobie wymusi posłuszeństwo. Tutaj dochodzimy do pojęcia bezpieczeństwa zbiorowego, które w sensie formalnym było obietnicą, że agresja przeciw jednemu uruchomi reakcję wszystkich. W rzeczywistości była to jednak próba przekształcenia geopolitycznej nierównowagi w moralnie uzasadniony mechanizm zbiorowego wymuszenia. Bezpieczeństwo zbiorowe nie było czystą normą prawną, lecz ambitnym projektem organizacji siły, którego powodzenie zależało od determinacji najpotężniejszych graczy.

W praktyce oznaczało to coś niezwykle niewygodnego dla oficjalnej retoryki pokojowej, co rzadko wybrzmiewa w dyplomatycznych komunikatach. Sankcja nie działała dzięki swojej abstrakcyjnej legalności, lecz dzięki temu, że za prawem stała brutalna hierarchia infrastrukturalna ówczesnego świata. Kto kontrolował morza, kredyt, ubezpieczenia i dostęp do walut rezerwowych, ten mógł przedstawiać własną przewagę jako bezstronną egzekucję normy. W latach międzywojennych materialną podporą tego systemu była potęga morska i finansowa Imperium Brytyjskiego, która trzymała świat w szachu. Dzisiaj analogiczną rolę odgrywają globalne węzły płatnicze, standardy technologiczne oraz jurysdykcje finansowe, które oplatają planetę niewidzialną siecią zależności.

Współczesna literatura o weaponized interdependence, czyli praktyce wykorzystywania asymetrycznych sieci do wywierania nacisku, opisuje dokładnie ten sam mechanizm dominacji. Współzależność nie znosi asymetrii, ona ją wręcz wzmacnia, faworyzując te państwa, które znajdują się najbliżej strategicznych węzłów sieci. Kontrola nad półprzewodnikami i zaawansowanymi technologiami stała się współczesnym odpowiednikiem dawnej kontroli nad flotą, węglem i ubezpieczeniami morskimi. Dlatego dzisiejsze ograniczenia eksportowe wobec Chin nie są wyłącznie niewinną polityką handlową, lecz elementem nowego repertuaru sankcyjnego. Są one projektowane tak, by spowalniać rozwój technologiczny przeciwnika i wymuszać na nim geostrategiczne podporządkowanie pod groźbą cyfrowego wykluczenia.

W tym kontekście pojawia się zjawisko blokadofobii, czyli zespołu strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega przyszłe odcięcie od handlu jako zagrożenie egzystencjalne. To właśnie ten lęk sprawia, że sankcje, zamiast studzić nastroje, mogą paradoksalnie skłaniać państwa do desperackiej, wyprzedzającej agresji w obronie własnej suwerenności. Musimy też odróżniać skutki od skuteczności, czyli rozgraniczać wywołanie strat gospodarczych od realnego zmuszenia przeciwnika do zmiany jego politycznego kursu. Często bowiem sankcjonizm, doktryna uznająca

każdy przepływ handlowy za narzędzie polityczne, prowadzi do destrukcji bez osiągnięcia jakiegokolwiek konstruktywnego celu. Geoekonomia, polegająca na wykorzystywaniu narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi, staje się wtedy jedynie nowym imieniem dla starej, imperialnej przemocy.

Neutralność techniczna biurokracji, czyli forma nowoczesnej przemocy instytucjonalnej polegająca na tworzeniu barier proceduralnych, pozwala władzy realizować cele polityczne bez brudzenia sobie rąk krwią. To właśnie ta biurokratyczna neutralność sprawia, że współczesna wojna gospodarcza wydaje się tak czysta, sterylna i cywilizowana w porównaniu z hukiem armat. Zapominamy jednak, że za każdym compliance i każdym zablokowanym przelewem kryje się realna deprywacja, która uderza w najsłabsze ogniwa społecznego łańcucha. Pozytywna broń gospodarcza, czyli podejście polegające na zasilaniu i ochronie sojuszników zamiast wyłącznie głodzenia przeciwnika, wciąż pozostaje jedynie teoretycznym postulatem. Dopóki nie zrozumiemy, że przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze, wcale nie przestała być przemocą, będziemy więźniami własnej, administracyjnej cnoty.

Mit odstraszania: Dlaczego sankcje są bardziej wygodne niż skuteczne

Właśnie w tym miejscu, na styku teorii i brutalnej praktyki, rodzi się mit odstraszania, który wymaga od nas niemal chirurgicznego rozebrania na części pierwsze. Odstraszanie sankcyjne w zamyśle swoich twórców miało działać niczym broń doskonała, której największa siła objawia się wtedy, gdy nie musi zostać użyta. Była to prawdziwa perła liberalno-imperialnej wyobraźni, karmiąca się wizją potęgi wirtualnej, gdzie sam cień narzędzia wymusza uległość bez jednego wystrzału. Sankcja w tym ujęciu przypominała gilotynę wystawioną w centralnym punkcie muzeum, której ostrze nie musi spadać, dopóki wszyscy wierzą w jego nienaganną ostrość. Joost van Hamel i inni myśliciele tamtej epoki wyrażali tę ideę z nabożną wręcz powagą, wierząc w dyscyplinującą moc strachu. Broń gospodarcza miała spoczywać w magazynie jako absolutny straszak, paraliżujący elity państwa potencjalnie agresywnego samą możliwością jej uruchomienia. Brzmi to jak geometryczna doskonałość, prawda? Problem w tym, że człowiek rzadko bywa figurą geometryczną, a państwo rewizjonistyczne nie przypomina spokojnego akcjonariusza, który drży nad każdym wykresem przepływów pieniężnych.

Doświadczenie lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku w sposób brutalny obnażyło fundamentalne ograniczenia tego eleganckiego modelu. Owszem, sankcje jako groźba odnosiły sukcesy, ale działo się to niemal wyłącznie wobec podmiotów słabych, peryferyjnych i

pozbawionych strategicznej alternatywy. Przypadki Jugosławii czy Grecji są do dziś przywoływane jako dowody na to, że sama zapowiedź izolacji wystarczyła, by zatrzymać eskalację konfliktu. Był to jednak sukces warunkowy i głęboko asymetryczny, działający tam, gdzie agresor był zależny od systemu i nie mógł liczyć na żadną rekompensatę za swój bunt. Innymi słowy, sankcja odstraszała głównie tych, którzy i tak mieli już mnóstwo powodów, by zatrzymać się przed progiem wojny. Nie jest to mało, ale z pewnością nie stanowi dowodu na uniwersalną moc tego mechanizmu, lecz raczej na jego głęboką selektywność. Globalna policja tamtego okresu okazała się formacją nader osobliwą, surową wobec małych, ostrożną wobec średnich i kompletnie bezradną wobec wielkich. Policjant, który wyciąga pałkę tylko wobec właściciela kiosku, a w obliczu mafii zaczyna nagle studiować traktaty etyczne, przestaje być stróżem prawa. Staje się jedynie uczestnikiem konferencji.

Ten strukturalny problem ujawnił się z całą ostrością podczas sporów o Mandżurię, Korfu czy wreszcie tragiczny los Etiopii. Bezpieczeństwo zbiorowe okazało się nie tyle neutralną formułą prawa międzynarodowego, ile kruchą konstrukcją uzależnioną od doraźnego rachunku sił i interesów mocarstw. Kryzys mandżurski dobitnie pokazał, że nawet przy ewidentnym naruszeniu ładu, brak jednomyślnej woli sankcyjnej potrafi unieważnić całą architekturę pokoju. Jeszcze więcej światła na tę słabość rzucił konflikt włosko-etiopski, gdzie sankcje nałożono, lecz pozostały one politycznie niewystarczające. Mogły one wyrażać najwyższe normatywne oburzenie opinii publicznej, nie przynosząc przy tym żadnej realnej osłony dla ofiary agresji. Wywoływały potężne wtórne skutki geopolityczne, ale nie potrafiły zatrzymać samego mechanizmu podboju, co obnażyło pustkę tkwiącą w sercu systemu. Właśnie tutaj rozróżnienie między skutkiem a skutecznością, czyli między wywołaniem strat gospodarczych a zmuszeniem przeciwnika do zmiany polityki, nabiera pełnego, tragicznego ciężaru.

Sankcje nałożone na Włochy w 1935 roku nie uratowały Etiopii przed okupacją, nie osiągnęły więc celu, który mógłby uzasadniać ich historyczną chwałę. A jednak, paradoksalnie, wywołały one ogromne i trwałe skutki, które ukształtowały myślenie o bezpieczeństwie na kolejne dekady. Umocniły one w państwach autorytarnych przekonanie, że Zachód potrafi użyć gospodarczej blokady jako narzędzia strategicznego duszenia przeciwnika. To z kolei zrodziło zjawisko znane jako blokadofobia, czyli zespół strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega przyszłe odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie. Przyspieszyło to gorączkowe poszukiwanie samowystarczalności, budowę alternatywnych łańcuchów dostaw oraz gwałtowną mobilizację narodową w imię przetrwania. Tak właśnie objawia się różnica między efektem a efektywnością: ciało społeczne czuje bolesny cios, ale cel polityczny agresora pozostaje nietknięty. Ręka, która uderza, ogłasza sukces, ponieważ ból po drugiej stronie jest realny i mierzalny w statystykach. Tymczasem ból nie jest jeszcze zwycięstwem.

Trzeba to powiedzieć jasno, nawet jeśli brzmi to brutalnie dla wszystkich obrońców sankcyjnej moralności: polityka sankcji zbyt często myli cierpienie z posłuszeństwem. To jest jej grzech pierworodny i zarazem najbardziej trwała pokusa, której ulegają kolejne pokolenia dyplomatów. Jeżeli gospodarka przeciwnika słabnie, kurs waluty gwałtownie spada, a import kluczowych dóbr się kurczy, w stolicach państw nakładających restrykcje natychmiast rodzi się triumfalna narracja. Urzędnicy widzą rosnącą presję i wierzą, że historia właśnie skręca w pożądanym przez nich kierunku, lecz to wszystko może być jedynie kosztownym złudzeniem. Ból nie jest procesem automatycznie sterowalnym, a presja ekonomiczna wcale nie musi przekładać się na polityczną uległość elit. Cierpienie bywa katalizatorem oporu, radykalizacji i internalizacji narracji o „oblężonej twierdzy", która cementuje lojalność społeczeństwa wobec dyktatora. Sankcja nie jest po prostu aktem zakazu. Sankcja jest aktem redystrybucji cierpienia, który rzadko trafia w tych, którzy faktycznie podejmują decyzje o wojnie.

Na ten aspekt zwracał uwagę Nicholas Mulder, a późniejsi komentatorzy jego prac jeszcze mocniej akcentowali wagę rozróżnienia między wpływem ekonomicznym a politycznym dostosowaniem. Bruce Jentleson pisał wręcz o luce między oddziaływaniem gospodarczym a compliance, czyli polityczną zgodnością z żądaniami strony sankcjonującej. Ta luka jest sednem całego problemu, ponieważ sankcje mogą działać dewastująco na poziomie kosztów życia obywateli, pozostając jednocześnie bezsilne na poziomie decyzji strategicznych. Wkraczamy tu w obszar, gdzie geoekonomia, czyli wykorzystywanie narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi strategicznej, zderza się z psychologią władzy. Neutralność techniczna biurokracji, ta specyficzna forma nowoczesnej przemocy instytucjonalnej polegająca na tworzeniu barier proceduralnych, staje się wtedy najskuteczniejszym kneblem. Może ona uniemożliwić zakup leków czy części zamiennych do samolotów, ale rzadko kiedy potrafi zmienić mapę mentalną przywódcy marzącego o imperialnej wielkości.

Jeżeli jednak sankcje bywają tak zawodne w realizacji swoich deklarowanych celów, to dlaczego ich historia jest tak niezwykle trwała i odporna na krytykę? Odpowiedź na to pytanie jest niewygodna i właśnie dlatego tak cenna dla zrozumienia współczesnej polityki międzynarodowej. Sankcje trwają nie tylko dlatego, że czasem okazują się skuteczne, ale przede wszystkim dlatego, że pozwalają elitom na gest działania bez konieczności wchodzenia w pełną logikę wojny. Są idealnym instrumentem dla świata, który pragnie karać zło, ale jednocześnie panicznie boi się umierać za odległe ideały. Pozwalają one mówić językiem stanowczości i moralnej wyższości, przy jednoczesnym radykalnym ograniczaniu kosztów własnych i ryzyka militarnego. Dają możliwość sygnalizacji normatywnej, konsolidacji sojuszy i sprawnego zarządzania reputacją przed własną, często oburzoną opinią publiczną. W tym sensie sankcjonizm, czyli doktryna uznająca, że w

zintegrowanej gospodarce każdy przepływ handlowy jest narzędziem politycznym, stał się nową religią państwową.

Z perspektywy przywódców demokratycznych sankcja jest narzędziem politycznie atrakcyjnym, ponieważ pozwala pokazać, że państwo nie pozostaje bierne wobec zła. Jest to technologia legitymizacji władzy wobec własnego społeczeństwa, która pozwala uniknąć wysyłania żołnierzy w rejon konfliktu, co zawsze wiąże się z ryzykiem politycznym. To dlatego ich trwałość nie jest zagadką, lecz logiczną konsekwencją poszukiwania drogi pośredniej między bezsilnym oburzeniem a militarnym hazardem. Właśnie ten pośredni charakter czyni je tak wygodnymi dla biurokracji i tak zdradliwymi dla tych, którzy faktycznie liczą na ich sprawczą moc. Przemoc, która przebrała się za procedurę, wciąż pozostaje przemocą, nawet jeśli jej skutki widać tylko w arkuszach kalkulacyjnych i na sklepowych półkach. Nie każda przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze, stała się cywilizowana, a sankcje są tego najlepszym, choć bolesnym przykładem. Pozostają one trwałym elementem naszego świata, będąc bardziej świadectwem naszej bezradności niż dowodem naszej siły.

Koniec neutralności: Ekonomia jako front totalnej wojny

Stąd prowadzi prosta droga do zagadnienia neutralności, która w tej opowieści jest czymś znacznie ważniejszym niż tylko zakurzonym, prawniczym przypisem. Neutralność to w istocie fundamentalny spór o to, czy sferę gospodarczą da się utrzymać jako obszar względnie autonomiczny wobec politycznej gorączki. Zwolennicy klasycznego podejścia bronili wolności mórz i prawa do handlu, wierząc, że państwo trzecie nie powinno być zmuszane do ekonomicznego współudziału w karaniu którejkolwiek ze stron. Ich oponenci odpowiadali krótko: to anachronizm, bo w świecie nowoczesnych powiązań każdy handel z agresorem karmi jego armię. Czy można być niewinnym obserwatorem, gdy dostarcza się paliwo do silnika, który właśnie miażdży sąsiednie granice?

Konflikt ten miał charakter głęboko ideowy, będąc w swej istocie sporem o ostateczne upolitycznienie globalnego kapitalizmu. Pytano, czy własność prywatna i przepływy finansowe mają być chronione jako strefa odrębna od geopolityki, czy też mają zostać wcielone do arsenału bezpieczeństwa zbiorowego. Po pierwszej wojnie światowej sankcjoniści odnieśli wielkie zwycięstwo pojęciowe, narzucając elitom przekonanie, że klasyczna neutralność jest w nowym świecie moralnie podejrzana. Utrwalili oni sankcjonizm, czyli doktrynę uznającą, że w zintegrowanej gospodarce każdy przepływ handlowy jest narzędziem politycznym, a neutralność po

prostu nie istnieje. Sankcja nie jest przecież po prostu aktem zakazu; sankcja jest aktem redystrybucji cierpienia.

Choć po drugiej wojnie światowej to podejście zyskało ramy instytucjonalne, napięcie między prawem do neutralności a presją sankcyjną nigdy nie wygasło. Przeniosło się ono jedynie na wyższy poziom, gdzie zamiast armat używa się mechanizmów eksterytorialności oraz sankcji wtórnych. Dziś ten spór toczy się w biurach compliance, gdzie analizuje się obowiązki firm z państw trzecich i zakres ich dopuszczalnej autonomii wobec reżimów restrykcyjnych. To tutaj objawia się neutralność techniczna biurokracji, czyli forma nowoczesnej przemocy instytucjonalnej, polegająca na tworzeniu barier proceduralnych uniemożliwiających działanie. Brzmi to jak nudna lektura dla audytorów? Dobrze. Ma tak brzmieć.

Sankcje technologiczne jako narzędzie strategicznej autarkizacji

Współczesna geoekonomia, czyli wykorzystywanie narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi strategicznej, powraca dziś w formie precyzyjnie wymierzonych restrykcji eksportowych. Kiedy Waszyngton odcina rywali od procesorów, nie czyni tego w akcie odwetu, lecz projektuje architekturę przyszłej dominacji. Sankcja technologiczna przestała być karą, stając się instrumentem zarządzania wzrostem przeciwnika poprzez dławienie jego mocy obliczeniowych. To nie jest już tylko administracyjna blokada, lecz przemoc, która przebrała się za procedurę. Brzmi to jak chłodna kalkulacja z arkusza kalkulacyjnego. I słusznie.

Najnowsza literatura dowodzi jednak, że takie działania wywołują gwałtowne reakcje obronne i inwestycje substytucyjne. Tutaj właśnie ujawnia się blokadofobia, czyli zespół wyobrażeń, w których państwo postrzega odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie. Im silniejsza jest groźba izolacji, tym szybciej polityka przemysłowa ewoluuje w stronę budowy własnego ekosystemu innowacji. Sankcja nie jest po prostu aktem zakazu. Sankcja jest aktem redystrybucji cierpienia, który, wbrew intencjom, stymuluje procesy strategicznej autarkizacji. Choć próby te bywają nieefektywne, ich znaczenie polityczne pozostaje fundamentalne.

Blokadofobia: Psychologia oblężonej twierdzy w dobie sankcji

I tu dochodzimy do blokadofobii, czyli zespołu strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega przyszłe odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie dla swojego bytu. Nie jest to jedynie chłodna kalkulacja strat w arkuszu kalkulacyjnym czy lęk przed przejściową recesją, lecz głęboki wstrząs poznawczy. W tym stanie umysłu decydenci zaczynają postrzegać przyszłość własnego kraju jako tragiczny wybór między upokarzającą zależnością a całkowitym wykluczeniem. Państwo nie obawia się już tylko spadku PKB, lecz utraty suwerenności, zdolności do prowadzenia wojny oraz biologicznego bezpieczeństwa swojej wspólnoty. Sankcja przestaje być wtedy czytana jako cywilizowane narzędzie nacisku, a zaczyna być odbierana jako zapowiedź bezwzględnego, wieloletniego oblężenia.

Państwa, które zaczynają myśleć w kategoriach oblężonej twierdzy, błyskawicznie przestają zachowywać się jak racjonalni konsumenci globalnej integracji gospodarczej. Zamiast optymalizować zyski, zaczynają obsesyjnie gromadzić zasoby, gorączkowo szukać substytutów i brutalnie reorganizować całą strukturę krajowej gospodarki. Militaryzacja polityki przemysłowej staje się wówczas jedyną odpowiedzią na lęk przed zewnętrznym dyktatem, co prowadzi do budowy radykalnej ideologii przetrwania. Dokładnie taką dynamikę obserwowano w państwach rewizjonistycznych lat trzydziestych, gdzie groźba sankcji, zamiast studzić nastroje, jedynie dolewała oliwy do ognia. Brzmi to znajomo? Powinno, bo historia lubi przebierać się w nowe kostiumy, zachowując te same, tragiczne schematy działania.

Klaustrofobia czasowa, czyli stan, w którym reżim uznaje, że z każdym miesiącem jego pozycja negocjacyjna wobec przyszłej blokady słabnie, jest w tym kontekście pojęciem wprost kapitalnym. Kiedy elity władzy dochodzą do wniosku, że czas przestał być ich sojusznikiem, wojna natychmiastowa może wydać się im bardziej racjonalna niż niepewny pokój. Sankcja, która w teorii miała stanowić humanitarną alternatywę dla konfliktu zbrojnego, paradoksalnie zaczyna wtedy produkować psychologię wojny wyprzedzającej. Zamiast powstrzymać agresora, system nacisku wypycha go w stronę desperackiego uderzenia, zanim pętla ograniczeń zaciśnie się na dobre. To klasyczny przykład sytuacji, w której lekarstwo okazuje się bardziej toksyczne od samej choroby, którą miało wyleczyć.

Zjawisko to posiada również głęboki wymiar antropologiczny, gdyż wspólnota poddana sankcjom niemal natychmiast wchodzi w archaiczny rytuał oblężenia. Rozwijają się wtedy nowe idiomy cierpienia, cnoty oraz narodowej odporności, które pozwalają przekuć materialny niedobór w dowód najwyższego honoru. Państwo zręcznie przedstawia autarkię jako znak ostatecznej

suwerenności, a codzienne wyrzeczenia obywateli jako ostateczny test narodowego charakteru. Sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz staje się aktem redystrybucji cierpienia, który paradoksalnie cementuje lojalność wobec opresyjnej władzy. Naród, zamiast osłabnąć psychologicznie pod ciężarem restrykcji, zostaje na nowo upolityczniony wokół wspólnego wroga i poczucia dziejowej krzywdy.

Cierpienie zostaje wówczas wpisane w wielką opowieść o zewnętrznym spisku, co dostarcza reżimowi potężnego, metafizycznego paliwa do dalszej konfrontacji. Właśnie dlatego każda rzetelna analiza sankcji musi wyjść poza sterylne modele ekonomii neoklasycznej i uwzględnić logikę symboli oraz politykę tożsamości. Sankcja dotyka cen towarów na półkach, ale jej prawdziwe życie toczy się w zbiorowej wyobraźni i pamięci historycznej społeczeństwa. Polityka, która ignoruje te niematerialne fundamenty ludzkiego działania, zwykle kończy jako smutna rachunkowość porażki, niezdolna do zrozumienia własnej bezskuteczności. Można wygrać bitwę na cyfry w Excelu, przegrywając jednocześnie wojnę o dusze i umysły sankcjonowanej populacji.

Współczesny paradygmat badawczy stał się na szczęście znacznie bardziej wyczulony na te subtelne, choć brutalne w skutkach zjawiska społeczne. Przeglądy literatury z ostatnich lat wyraźnie podkreślają, że nie wystarcza już klasyczna odpowiedź na pytanie, czy sankcje w ogóle działają. Rośnie nacisk na analizę ich wpływu dystrybucyjnego, czyli tego, jak ciężar restrykcji rozkłada się między elity a najuboższe warstwy ludności cywilnej. Badacze coraz wnikliwiej przyglądają się procesom omijania sankcji oraz ich nieoczekiwanym sprzężeniom z polityką wewnętrzną podmiotów, które miały zostać ukarane. Analizuje się również sam projekt prawny sankcji, procedury listingowe oraz relację między bezpieczeństwem a ochroną praw podstawowych.

W przypadku reżimów unijnych analiza przesuwa się od prostego pytania o wymuszenie posłuszeństwa ku badaniu funkcji sygnalizacyjnej i normotwórczej tych działań. To przesunięcie jest istotne, ponieważ przyznaje, że sankcja może być oceniana wielowymiarowo, a nie tylko według jednego, uproszczonego wskaźnika sukcesu politycznego. Niemniej jednak taka wielowymiarowa ewaluacja może równie dobrze służyć pogłębieniu uczciwości, jak i sprytnemu rozmyciu odpowiedzialności za błędy. Jeżeli każde działanie zaczniemy nazywać sukcesem częściowym, to rzeczywista porażka stanie się pojęciem niemożliwym do wypowiedzenia w debacie publicznej. A tam, gdzie porażka staje się niewyrażalna, rośnie ryzyko moralnej bezkarności elit, które te sankcje projektują i wdrażają.

Szczególnie interesujące jest w tym kontekście połączenie sankcji i pomocy, które rzuca nowe światło na asymetrię współczesnego bezpieczeństwa zbiorowego. Okazało się ono konstrukcją chwiejną, jeśli opierało się wyłącznie na deprywacji agresora, całkowicie zapominając o realnym wsparciu dla ofiary. Bez komponentu pozytywnego sankcja staje się jedynie gestem karzącym, który

w żaden sposób nie chroni tych, którzy najbardziej potrzebują ratunku. Można skutecznie dusić gospodarczo napastnika, a jednocześnie pozostawić zaatakowane państwo bez środków do skutecznej obrony i przetrwania. Historia Etiopii boleśnie pokazała, że sterylna procedura zakazów bywa bezużyteczna, gdy na szali kładzie się krew i życie konkretnych ludzi.

Współczesne systemy sankcyjne próbują korygować ten problem przez wyjątki humanitarne oraz specjalne systemy licencyjne dla organizacji pomocowych. ONZ oraz Unia Europejska deklarują dziś głośno, że restrykcje nie mają uderzać w podstawowe potrzeby ludności cywilnej ani w dostawy leków. Wciąż jest to jednak logika defensywna, która jedynie łata najdotkliwsze, negatywne skutki stosowanego przez mocarstwa przymusu ekonomicznego. Czym innym byłby prawdziwy system pozytywnej broni gospodarczej, czyli zorganizowanego i koordynowanego wsparcia finansowego dla społeczeństwa będącego celem agresji. Bez takiego narzędzia bezpieczeństwo zbiorowe pozostaje strukturą bardziej represyjną niż ochronną, co obnaża hipokryzję nowoczesnej polityki międzynarodowej.

Jeżeli zatem zapytać o współczesny stan wiedzy w sprawie sankcji, odpowiedź musi być jednocześnie precyzyjna i głęboko sceptyczna. Nie żyjemy już w epoce naiwnej wiary, że restrykcje handlowe stanowią bezkrwawy i zawsze skuteczny substytut dla otwartej wojny. Badania otwarcie dostrzegają ich ogromne koszty uboczne, problemy z mierzeniem realnej efektywności oraz ryzyko długotrwałych zniszczeń strukturalnych. Mimo to sankcje są dziś trwalsze niż kiedykolwiek jako centralne narzędzie geoekonomii i kontroli globalnych przepływów technologicznych. Są one jednocześnie zaciekle krytykowane i niezwykle intensywnie rozwijane przez największych graczy na arenie światowej. Nie każda przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze, stała się cywilizowana, ale z pewnością stała się bardziej biurokratyczna.

Ta systemowa sprzeczność nie jest dziełem przypadku, lecz cechą świata, który chce dyscyplinować przeciwników przy możliwie niskim koszcie własnym. Chcemy zachować moralny obraz siebie jako wspólnoty prawa, używając narzędzi, które w swojej istocie są formą nowoczesnej, administracyjnej przemocy. Sankcjonizm, czyli doktryna uznająca każdy przepływ handlowy za narzędzie polityczne, stał się nową religią dyplomacji, w której neutralność przestała istnieć. W tym świecie każda transakcja jest potencjalnym aktem agresji, a każdy brak działania – formą cichego przyzwolenia na zło. Właśnie to napięcie stanowi o centralności sankcji w XXI wieku, czyniąc z nich instrument równie niezbędny, co tragicznie niedoskonały.

Biurokracja jako nowa twarz dawnej blokady wojennej

Tu intuicje Fundacji Dobre Państwo spotykają się z perspektywą Muldera, tworząc trafną diagnozę współczesności. Geoekonomia, czyli wykorzystywanie narzędzi handlowych do budowania przewagi strategicznej, pozwala opisać dojrzałą fazę dawnego problemu. Współczesna władza nie wybiera między rynkiem a przemocą, lecz używa rynku jako medium agresji. Państwo nie musi maszerować, by dominować; wystarczy, że licencjonuje, certyfikuje, ubezpiecza, blokuje lub odmawia serwisu. To przemoc, która przebrała się za procedurę.

Dawna blokada miała twarz okrętu, dzisiejsza zaś nosi maskę zgodności, sankcji lub blokady dostaw maszyn litograficznych. Zmienił się kostium, nie logika. Neutralność techniczna biurokracji, czyli forma przemocy instytucjonalnej oparta na tworzeniu barier administracyjnych, pozwala obnażyć hipokryzję systemu. Obrona tych tez nie jest ćwiczeniem archiwalnym, lecz formą intelektualnej samoobrony przed epoką mylącą techniczność z niewinnością. Brzmi ostro? Ma brzmieć ostro.

Pułapka sankcji: Dlaczego ból nie oznacza skuteczności

Najostrzejsza teza, jaką możemy dziś postawić, brzmi następująco: bezpieczeństwo zbiorowe nie upadło wcale dlatego, że było zbyt moralne lub oderwane od rzeczywistości. Ono kruszyło się w momentach, gdy próbowało desperacko ukryć twardą geopolitykę pod maską moralnej oczywistości, co ostatecznie odebrało mu wiarygodność. Sankcjonizm, czyli doktryna uznająca, że w zintegrowanej gospodarce każdy przepływ handlowy jest narzędziem politycznym, sprawił, że sankcje przestały być traktowane jako środek ostateczny. Nie zawodziły one dlatego, że ich siła uderzeniowa była zbyt mała, by zachwiać fundamentami finansowymi przeciwnika. Często ich fiasko wynikało z głębokiego niezrozumienia psychologii politycznej oponenta oraz naiwnego przeceniania liniowego związku między zadanym bólem a oczekiwaną uległością. Polityka sankcji zbyt często myli cierpienie z posłuszeństwem.

Neutralność w tym kontekście nie była jedynie egoistycznym unikaniem odpowiedzialności przez państwa trzecie, lecz stanowiła instynktowną obronę przed wizją całkowitego upolitycznienia gospodarki. Blokadofobia, czyli zespół strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega przyszłe odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie, stała się logiczną reakcją na współczesną współzależność. Państwa zrozumiały, że światowy system wymiany może zostać w każdej chwili przekształcony w precyzyjne narzędzie ich powolnego uduszenia. To nie była patologiczna fobia kilku dyktatur, lecz chłodna kalkulacja graczy, którzy dostrzegli, że globalizacja

ma swoją mroczną, drapieżną stronę. W takim świecie każda rura z gazem i każdy kabel światłowodowy stają się potencjalnym polem bitwy. Brzmi to brutalnie? Bo takie właśnie jest.

Słabość sankcji rzadko objawia się w spektakularnym fiasku, częściej widać ją tam, gdzie mechanizm pozornie pracuje zgodnie z założeniami biurokracji. Gospodarka celu traci płynność, koszt finansowania długu gwałtownie rośnie, a dostęp do nowoczesnych technologii staje się jedynie wspomnieniem. W gabinetach metropolii nakładających restrykcje pojawia się wtedy zrozumiały odruch satysfakcji, bo przecież wskaźniki na ekranach świecą się na czerwono. Oto presja została uruchomiona, mechanizm uderza z chirurgiczną precyzją, a narzędzie wykonuje swoją niszczycielską pracę. Ale właśnie w tym momencie do głosu powinno dojść najważniejsze pytanie, jakie może zadać analityk patrzący poza arkusz kalkulacyjny: czy to, co widzimy, jest jeszcze tylko skutkiem, czy już rzeczywistą skutecznością strategiczną?

Rozróżnienie między effects a efficacy, czyli oddzielenie wywołania strat gospodarczych od zmuszenia przeciwnika do zmiany polityki, pozwala uniknąć politycznego samooszukiwania się. Skutki materialne są aż nadto realne: dekapitalizacja przemysłu, zapaść ochrony zdrowia i przerwanie łańcuchów dostaw to fakty, a nie statystyka. Jednak z faktu, że potrafimy wywołać ruinę, nie wynika jeszcze, że potrafimy wymusić konkretną decyzję u decydentów. Można zdemolować trajektorię historyczną całego regionu, a mimo to nie zatrzymać adresata w punkcie, który był deklarowanym celem operacji. Współczesna literatura przedmiotu wyraźnie podkreśla, że debata przesunęła się od prostych pytań o ból ku złożonej ocenie wielowymiarowych skutków. To nie jest akademicka moda, lecz reakcja na politykę, która brała widzialne zniszczenie za dowód sukcesu.

Tutaj dotykamy drugiej osi problemu, czyli relacji między karzącym odcięciem a budującym zasilaniem, co decyduje o trwałości ładu. Nowoczesny internacjonalizm długo nie potrafił pojąć, że sama deprywacja, choć bolesna, nie jest w stanie stworzyć stabilnego porządku międzynarodowego. Odcinanie przepływów może osłabić agresora, ale nie daje ofierze zasobów niezbędnych do przetrwania, odbudowy i skutecznej obrony. Pozytywna broń gospodarcza, czyli podejście polegające na zasilaniu i ochronie sojuszników zamiast wyłącznie głodzenia przeciwnika, okazuje się tu koncepcją znacznie dojrzalszą. System oparty wyłącznie na dławieniu przypomina lekarza, który amputuje zainfekowaną kończynę, ale zapomina o podaniu pacjentowi niezbędnych składników odżywczych. Czasami pacjentem okazuje się ktoś zupełnie inny, niż wskazywała na to pierwotna, administracyjna diagnoza.

Współczesne instytucje, choć używają języka wypranego z emocji, zaczynają powoli przyznawać się do tej systemowej ślepoty własnych narzędzi. Rezolucja 2664 Rady Bezpieczeństwa ONZ czy unijne derogacje to nic innego jak próba ratowania resztek humanitaryzmu w niszczycielskim

mechanizmie. Unia Europejska wyjaśnia, że jej reżimy sankcyjne muszą zawierać wyłączenia dla potrzeb podstawowych, opieki medycznej oraz szeroko rozumianej pomocy. OFAC wprost wskazuje, że humanitarny carve-out ma umożliwiać legalny przepływ dóbr do populacji, które stały się zakładnikami wielkiej polityki. Sam fakt, że te biurokratyczne bezpieczniki stały się niezbędne, jest historycznym dowodem na to, jak łatwo sankcja zmienia się w narzędzie totalne. Przemoc, która przebrała się za procedurę, wciąż pozostaje przecież formą przemocy.

Nie dajmy się jednak zwieść pozornej uldze, jaką niosą te wszystkie formalne wyjątki, licencje i proceduralne zapewnienia o dobrej woli. Wyjątek nie rozwiązuje problemu strukturalnego, on jedynie potwierdza jego istnienie i głębokość w tkance współczesnego handlu. Pojawia się zjawisko chilling effect, czyli paraliżująca ostrożność banków i ubezpieczycieli, którzy wolą odrzucić legalną transakcję, niż ryzykować gniew regulatora. W efekcie infrastruktura finansowa staje się niedrożna nawet tam, gdzie prawo teoretycznie nakazuje otwartość i niesienie pomocy. Neutralność techniczna biurokracji, będąca formą nowoczesnej przemocy instytucjonalnej polegającej na tworzeniu barier proceduralnych, sprawia, że pomoc staje się niemożliwa. Legalność nie przekłada się automatycznie na drożność, co jest jednym z najtrudniejszych paradoksów współczesnej polityki.

Geoekonomia, czyli wykorzystywanie narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi strategicznej, uczy nas, że sankcje to gra o znacznie wyższą stawkę. To projektowanie architektury przyszłej dominacji, w której przeciwnik ma zostać trwale odcięty od źródeł nowoczesności i rozwoju. Jednak bez jasności regulacyjnej i ograniczenia zjawiska de-risking, czyli masowego wycofywania się instytucji z rynków ryzyka, sankcje pozostaną ślepym mieczem. W epoce nowoczesnej nic nie bywa bardziej groźne niż administracyjna pewność własnej cnoty połączona z techniczną sprawnością niszczenia. Skuteczność wymaga bowiem nie tylko zadawania bólu, ale przede wszystkim politycznej wyobraźni, której biurokracja z natury swojej nie posiada. Bez tej korekty sankcja produkuje jedynie ruinę, którą później, z braku lepszych opcji, ogłasza się sukcesem.

Paraliż proceduralny: Jak biurokracja dusi handel bez zakazów

Wracamy tutaj do problemu kultury administracyjnej, który w publicystyce „Dobre Państwo” został uchwycony. Neutralność techniczna biurokracji, czyli praktyka polegająca na tworzeniu barier proceduralnych uniemożliwiających działanie, pozwala realizować cele polityczne bez bezpośredniego przymusu. Ta nowoczesna przemoc instytucjonalna nie opiera się na zakazie, lecz

na subtelnym modelowaniu otoczenia prawnego. W takim układzie określone działanie pozostaje formalnie dopuszczalne, niemniej praktycznie staje się ono niemal niewykonalne. W epoce nowoczesnej nic nie bywa groźniejsze niż administracyjna pewność własnej cnoty, skryta za sterylnym arkuszem Excela. Przemoc, która przebrała się za procedurę, paraliżuje system skuteczniej niż otwarty konflikt.

Mechanizm ten widać najwyraźniej w architekturze sankcji, gdzie urzędnik ogłasza humanitarny wyjątek, ale bank natychmiast żąda od stron niemożliwych do dostarczenia dowodów. Ubezpieczyciel odmawia ochrony, spedytor zwleka z transportem, a dostawca, drżąc przed kosztami reputacyjnymi, wybiera bezpieczną bierność. Tymczasem pacjent czekający na lekarstwa nie analizuje finezji prawnych konstrukcji, lecz doświadcza fizycznego braku pomocy. Biurokracja pozostaje dumna z tego, że niczego formalnie nie zakazała, choć w istocie wygenerowała paraliżujący strach przed ruchem. Absurd polega na tym, że do zatrzymania świata nie potrzeba już dekretów, wszak wystarczy dawkowana niepewność.

Poza dławienie: Strategia pozytywnej broni gospodarczej

W tej perspektywie szczególnie istotna staje się koncepcja pozytywnej broni gospodarczej, czyli podejście polegające na zasilaniu, ochronie i odbudowie sojuszników zamiast wyłącznie głodzenia przeciwnika. Stanowi ona swoistą odtrutkę na sankcyjną pychę, która naiwnie zakłada, że nowy porządek wyłoni się samoczynnie z pustych żołądków i zrujnowanych magazynów wroga. Trwały ład wymaga bowiem nie tylko karania, ale przede wszystkim aktywnego podtrzymywania życia tych podmiotów, które znalazły się na linii ognia. Historycznie to przeczucie tliło się już w epoce międzywojennej, choć wówczas zabrakło odwagi, by ująć je w ramy konkretnych instytucji. Dopiero druga wojna światowa przyniosła materializację tej idei w postaci programu Lend-Lease, który z chirurgiczną precyzją łączył odcinanie agresora od zasobów z masowym zasilaniem państw stawiających mu opór. To właśnie ten podwójny model, oparty na jednoczesnej deprywacji wroga i obfitości dla sojusznika, okazał się fundamentem zwycięstwa.

Współczesna praktyka międzynarodowa, choć rzadko przyznaje to wprost, zdaje się powoli odrabiać tę lekcję, budując reżimy wsparcia równolegle do kolejnych pakietów restrykcji. Nie jest to bynajmniej dzieło przypadku, lecz spóźniony powrót do elementarnej logiki strategicznej, którą wcześniejszy internacjonalizm zlekceważył na własną zgubę. Jeżeli chcemy realnie wpłynąć na wynik konfliktu, nie możemy poprzestać na roli surowego sędziego wymierzającego ekonomiczną karę. Musimy równocześnie inwestować w biologiczną i technologiczną zdolność trwania strony

atakowanej, co stanowi jedyną realną przeciwwagę dla brutalnej siły. Sankcja działa bowiem w czasie przeszłym i teraźniejszym, ograniczając dostępne zasoby, podczas gdy pomoc operuje w czasie przyszłym, budując fundamenty pod przyszłą odbudowę. Jedna strona tego równania redukuje potencjał agresora, druga organizuje opór ofiary, a dopiero ich ścisłe sprzężenie tworzy coś, co można nazwać realną polityką.

Właśnie w tym miejscu najwyraźniej widać intelektualną mizerię konformistycznej debaty o sankcjach, która z upodobaniem grzęźnie w fałszywych, czarno-białych dylematach. Publicystyka dnia codziennego karmi nas alternatywą: albo sankcje są moralnym imperatywem, albo niehumanitarną hipokryzją, którą należy natychmiast porzucić jako nieskuteczną. Takie postawienie sprawy jest niezwykle wygodne dla sumienia, ale kompletnie bezużyteczne dla poważnej analizy procesów geopolitycznych. Sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia, co wymaga od nas wyjścia poza proste schematy. Dojrzała odpowiedź na pytanie o sens restrykcji jest znacznie trudniejsza i wymaga poruszania się po kilku poziomach rzeczywistości jednocześnie. Dyskusja musi zatem objąć kwestie legalności, skuteczności strategicznej, dystrybucji kosztów społecznych oraz instytucjonalnej odpowiedzialności za skutki uboczne.

To wielopoziomowe podejście, odzierające politykę z jej biurokratycznej niewinności, staje się zresztą coraz bardziej widoczne w najnowszych badaniach naukowych. Współczesna literatura przedmiotu przestała traktować sankcje jako wyizolowany bodziec ekonomiczny, który można analizować w próżni, bez uwzględnienia kontekstu społecznego. Dziś badamy ich relację z koalicjami międzynarodowymi, mechanizmami obchodzenia restrykcji oraz ewolucją struktur rynkowych, które dostosowują się do nowej rzeczywistości. Co istotne, skutki humanitarne przestały być traktowane jako niefortunny dodatek, stając się jednym z centralnych kryteriów oceny moralnej i politycznej. Przez cztery dekady gromadziliśmy dowody na to, jak niszczycielski wpływ mają restrykcje na zdrowie i dobrostan populacji, co w końcu wymusiło zmianę języka. Nie oznacza to jeszcze, że polityka dogoniła wiedzę, ale z pewnością apologetyka sterylnej presji gospodarczej traci swój dotychczasowy monopol na racjonalność.

Z perspektywy ekonomicznej sprawa jest równie złożona, ponieważ sankcje nie działają jedynie poprzez prosty zakaz wymiany handlowej, lecz przez głęboką zmianę oczekiwań i premię za ryzyko. W krótkim okresie mogą one wywołać bolesny wstrząs, ale w dłuższej perspektywie często prowadzą do nieoczekiwanej przebudowy globalnych łańcuchów wartości. Rozrost szarej floty, alternatywne systemy rozliczeń finansowych czy nowe korytarze transportowe pokazują, że sankcja bywa potężnym bodźcem innowacyjnym dla podmiotu objętego restrykcjami. Choć taka innowacja jest zazwyczaj kosztowna, nieefektywna i daleka od ideału samowystarczalności, politycznie może

wystarczyć, by stępić ostrze międzynarodowego przymusu. Sankcje operują w polu dynamicznym, gdzie każda akcja wywołuje reakcję, a adresat nie jest biernym obserwatorem własnego upadku. Kto analizuje te procesy tak, jakby przeciwnik miał bezczynnie czekać na kolejny cios, ten myśli bardziej jak urzędnik wypełniający arkusz w Excelu niż jak strateg.

W sferze prawnej jeszcze wyraźniej widać, że sankcje stały się narzędziem permanentnego napięcia między imperatywem bezpieczeństwa a systemem gwarancji obywatelskich. Rozbudowa wyjątków humanitarnych, wymogów transparentności oraz procedur odwoławczych to nie są jedynie techniczne ozdobniki mające uspokoić sumienia urzędników. To wyraźne ślady świadomości, że sankcja nie jest niewinną regulacją administracyjną, lecz aktem władzy o dalekosiężnych, często tragicznych skutkach. Unia Europejska z niemal rytualną gorliwością podkreśla legalność swoich środków, ale samo to natężenie wyjaśnień wydaje się niezwykle znamienne. Wszak władza, która jest naprawdę niewinna i pewna swoich racji, nie musi tak często tłumaczyć, że wcale nie zamierza głodzić cywilów. Nie każda przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze, stała się cywilizowana.

Estetyka sankcji: między technokracją a realnym cierpieniem

Z perspektywy antropologicznej sankcje tworzą własną, specyficzną estetykę moralną, pozwalającą każdej ze stron odnaleźć się w narzuconym dramacie. Po stronie nadawcy budują one aurę czystej stanowczości, podczas gdy u adresata cementują obraz oblężonej twierdzy, karmiąc narrację o męczeństwie i narodowej odporności. Najbardziej zwodniczy jest jednak punkt widzenia obserwatora, który ulega złudzeniu, że współczesna historia porusza się głównie przez dokumenty, a nie przez ludzkie ciało. To przekonanie bywa szczególnie niebezpieczne dla wysoko wykształconych elit, gdyż pozwala im wierzyć, że żyją w świecie wolnym od archaicznej przemocy. Sankcja nie jest przecież aktem zakazu, lecz redystrybucji cierpienia.

Musimy zrozumieć, że sankcja wcale nie znosi archaiczności, lecz jedynie ją sublimuje, ubierając pierwotny przymus w szaty nowoczesnej administracji. Odbiera ona przemocy jej widowiskowy, krwawy charakter, ale w najmniejszym stopniu nie pozbawia jej realności odczuwanego bólu. Głód pozostaje przecież głodem, nawet jeśli jego bezpośrednią przyczyną nie jest spalony spichlerz, lecz zablokowana w systemie płatność za zboże. Podobnie niedobór ratujących życie lekarstw nie przestaje być tragedią tylko dlatego, że nie towarzyszy mu wycie syren alarmowych, a jedynie chłodna opinia prawnika ds. zgodności (compliance). Przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze, wcale nie stała się przez to bardziej cywilizowana.

Tezy źródłowe zasługują na uwagę, gdyż odmawiają uczestnictwa w zbiorowym teatrze niewinności. Nie pozwalają nam mówić o sankcjach tak, jakby były one jedynie inteligentniejszą, bardziej humanitarną wersją moralnej reprymendy udzielanej krnąbrnemu państwu. Pokazują raczej ewolucję formy przymusu, która historycznie wyrosła z brutalnej blokady wojennej, by przez legalizację jako instrument pokoju stać się centralną technologią współczesnej geoekonomii. Geoekonomia, czyli wykorzystywanie narzędzi handlowych do budowania przewagi strategicznej, nie jest wcale ścieżką ku niewinności. To raczej proces zmierzający ku coraz większej abstrakcji sprawstwa, co bywa jednym z najbardziej ryzykownych wynalazków nowoczesności.

Na tym tle niepokojąco brzmi współczesna recepcja restrykcji, zdominowana przez język czysto instrumentalny. Brzmi on nowocześnie, profesjonalnie, a momentami wręcz elegancko, operując pojęciami takimi jak targetowanie, projektowanie czy odporność (resilience), czyli zdolność systemu do przetrwania wstrząsów. Ten żargon jest oczywiście użyteczny w codziennej pracy urzędników, lecz posiada jedną, fundamentalną wadę: potrafi skutecznie zasłonić fakt, że za każdym takim słowem stoją konkretni ludzie. Ekspert, który nie dostrzega ciał niosących ciężar jego decyzji, przestaje być analitykiem. Staje się jedynie tłumaczem przymusu na język procedury, co stanowi formę neutralności technicznej biurokracji, czyli praktyki realizowania celów politycznych poprzez bariery administracyjne.

Gdyby z tych rozważań miała pozostać tylko jedna, najważniejsza formuła, powinna ona brzmieć następująco: sankcja bez pomocy jest często tylko elegancko administrowaną deprywacją. Z kolei pomoc pozbawiona realnej presji bywa jedynie pustym gestem moralnym, który nie posiada politycznych zębów. Dopiero ich świadome i odpowiedzialne połączenie daje szansę na prowadzenie polityki, która nie myli wywołanego cierpienia z osiągniętym rezultatem. Takie postawienie sprawy nie rozwiązuje oczywiście wszystkich dylematów etycznych, przed którymi stoimy. Pozwala jednak odmówić udziału w najgroźniejszej iluzji nowoczesnego internacjonalizmu – przekonaniu, że wystarczy kogoś odciąć od świata, by ten świat automatycznie stał się lepszy.

Pułapka skuteczności: Dlaczego ból nie oznacza zwycięstwa

Historia nowoczesnych sankcji daje się odczytać jako fascynująca, choć ponura opowieść o wielkim przesunięciu przemocy z błotnistych pól bitewnych do sterylnych wnętrz globalnej infrastruktury. W pierwszej fazie tego procesu, przypadającej na lata 1914–1917, świat nie zawracał sobie jeszcze głowy subtelną etyką prawa międzynarodowego, lecz skupił się na brutalnie praktycznej potrzebie zbudowania aparatu zdolnego zdławić przeciwnika nie tylko przez przełamanie frontu, ale przez

odcięcie obiegu. Royal Navy, drobiazgowa kontrola kontrabandy, statystyka zużycia surowców, czarne listy, blokada finansowa, systemy navicerts, kontrola bunkrowa oraz bezwzględne zarządzanie państwami neutralnymi stworzyły zalążek zupełnie nowej formy władzy. Jej istotą było przejęcie całkowitej kontroli nad warunkami cyrkulacji, co w praktyce oznaczało, że kto nie panował nad ziemią przeciwnika, mógł odtąd panować nad jego dostępem do reszty świata. Właśnie w tym sensie sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia, będącym produktem biurokratycznej industrializacji wojny. Jej metryka nie znajduje się w księdze cnót, lecz w zakurzonym archiwum blokady, co sprawia, że interpretacja Nicholasa Muldera pozostaje tak uderzająco mocna. Odbiera ona sankcjom aurę niewinnego narzędzia policyjnego i przywraca im ich rzeczywiste, militarne pochodzenie, pokazując dobitnie, że są one jedynie uszlachetnioną instytucjonalnie formą dawnego, średniowiecznego oblężenia.

Kiedy zaś w latach 1917–1919 sankcje zaczęły nabierać formy normatywnej, nastąpił ruch historycznie przełomowy, a jednocześnie moralnie wysoce dwuznaczny. Przełom polegał na tym, że przymus gospodarczy został sprytnie oddzielony od formalnego stanu wojny, co pozwoliło mocarstwom na stosowanie radykalnych środków bez politycznych kosztów otwartego konfliktu. Dwuznaczność polegała natomiast na tym, że ten sam ruch pozwolił przedstawiać bardzo rozległe środki duszenia ekonomicznego jako rzekome narzędzia pokoju. Z perspektywy prawa był to wynalazek potężny, ponieważ tworzył nową kategorię działań przymuszających poniżej progu klasycznej wojny, dając biurokracji niemal nieograniczone pole manewru. Z perspektywy etycznej był to jednak wynalazek niebezpieczny, ponieważ sprzyjał iluzji, że przemoc przestaje być przemocą, gdy zostanie ubrana w nienaganną formę administracyjną. Właśnie ten paradoks do dziś przenika system sankcyjny ONZ, Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, tworząc swoistą schizofrenię decyzyjną. Rada Bezpieczeństwa, działając na gruncie Karty Narodów Zjednoczonych, nadal uparcie odróżnia środki niewymagające użycia siły zbrojnej od działań militarnych, choć ich skutki bywają identyczne. Jednocześnie te same instytucje coraz wyraźniej przyznają, że sankcje mogą wywoływać katastrofalne skutki uboczne, co wymusza tworzenie coraz bardziej złożonych wyjątków humanitarnych. Rezolucja 2664, ustanawiająca stały humanitarny mechanizm wyłączeń (carve-out) dla zamrożeń aktywów, czy rozbudowane licencje OFAC, to nie są detale proceduralne, lecz historyczne ślady rosnącej samoświadomości systemu, który zaczyna dostrzegać własną brutalność.

Lecz zanim sankcje stały się dojrzałym narzędziem administracji globalnej, przeszły przez fazę szczególnie mroczną, czyli przez okres „wojny w pokoju” z lat 1919–1921. To właśnie tutaj nowoczesność odsłoniła swój najbardziej niewygodny, wręcz odrażający grymas, którego nie da się przypudrować żadną dyplomatyczną retoryką. Działania zbrojne oficjalnie wygasły, lecz blokada trwała nadal, zbierając śmiertelne żniwo wśród cywilów, podczas gdy politycy w kuluarach

debatowali nad nowym ładem. Granica między pokojem a wojną została wówczas świadomie rozmazana, co powinno skłonić każdego wykształconego odbiorcę do głębokiej refleksji nad naturą współczesnej władzy. W tym punkcie powstaje bowiem rdzeń całej późniejszej hipokryzji sankcyjnej, gdzie państwa nauczyły się prowadzić politykę o skutkach śmiertelnych, nie wypowiadając przy tym ani jednego słowa o wojnie. Znalazły narzędzie pozwalające twierdzić, że bronią cywilizowanego ładu, choć w praktyce przedłużały cierpienie społeczeństw już i tak doszczętnie zrujnowanych. Było to laboratorium nowoczesnego moralnego rozszczepienia, w którym ciało ofiary cierpiało realny głód, lecz język urzędowy nadawcy pozostawał nieskazitelnie czysty. To właśnie dlatego pojęcie Nicholasa Muldera, czyli wojna w czasie pokoju, zachowuje do dziś swoją potężną siłę nie tylko historyczną, ale i teoretyczną. Oznacza ono formę przemocy, która nie potrzebuje huku armat, by zachować swoją niszczycielską realność, a współczesny mechanizm sankcyjny jest po prostu jej dojrzałą, bardziej wyrafinowaną wersją.

Następny etap tej historii to wielkie uwznioślenie sankcji w ramach doktryny bezpieczeństwa zbiorowego, którą Liga Narodów próbowała uczynić fundamentem nowego świata. W teorii miała to być forma publicznej egzekucji normy prawnej, stojąca wysoko ponad prywatną, egoistyczną logiką wojny prowadzonej przez poszczególne państwa. W praktyce jednak bezpieczeństwo zbiorowe okazało się całkowicie zależne od rażącej nierównowagi sił oraz od zmiennej gotowości mocarstw do egzekwowania ładu zgodnie z ich sprzecznymi kalkulacjami. Sankcje działały najlepiej wtedy, gdy nie musiały działać naprawdę, służąc jedynie jako skuteczna groźba wobec państw słabszych i pozbawionych sojuszników. Tam natomiast, gdzie w grę wchodziły duże państwa rewizjonistyczne, ich wzniosła policyjna legenda zaczynała błyskawicznie kruszyć się w zderzeniu z rzeczywistością. Kryzysy w Mandżurii, na Korfu czy w Etiopii ujawniły prawdę polityczną znacznie prostszą i bardziej brutalną, niż chcieliby w to wierzyć naiwni idealiści tamtej epoki. Nie istnieje bowiem żadna światowa policja zdolna trwale unieważnić twardą geopolitykę samą tylko moralną determinacją czy papierowymi rezolucjami. Sankcje nie stają się wszechmocne tylko dlatego, że zostaną nazwane działaniami policyjnymi, gdyż bywają one użyteczne, lecz zawsze pozostają zakotwiczone w realnym układzie sił. W epoce nowoczesnej nic nie bywa bardziej groźne niż administracyjna pewność własnej cnoty, która przesłania politykom fakt, że ich narzędzia są jedynie przedłużeniem tradycyjnej walki o wpływy.

Właśnie na tym tle rozbłyska z całą ostrością najważniejsze rozróżnienie w całej analizie, czyli dychotomia między skutkami (effects) a skutecznością (efficacy). Trudno przecenić wagę tej kategorii, gdyż jest ona precyzyjnym narzędziem chirurgicznym skierowanym przeciwko wszechobecnej sankcyjnej propagandzie. Skutki, czyli wywołane straty gospodarcze i społeczne, mogą być olbrzymie, wręcz dewastujące dla tkanki państwowej, podczas gdy skuteczność polityczna pozostaje przy tym znikoma. Społeczeństwo może zostać dosłownie przeorane przez niedobór

podstawowych produktów, dezorganizację usług i drastyczny wzrost kosztów życia, podczas gdy cel polityczny nadawcy pozostaje nienaruszony. Państwo poddane presji może zostać zmuszone do desperackiej improwizacji i brutalnej adaptacji, lecz rzadko prowadzi to do pokornego podporządkowania się woli zewnętrznego suwerena. Historia sankcji pokazuje to raz po raz, a współczesna nauka również przesuwa punkt ciężkości właśnie w stronę badania tych złożonych, często niezamierzonych procesów. Coraz więcej rzetelnych badań odchodzi od jałowego pytania, czy sankcje „działają", skupiając się na tym, jak realnie oddziałują, na kogo uderzają najmocniej i jakie generują koszty humanitarne. Nawet Parlament Europejski w swoich analizach unijnego reżimu sankcyjnego zwraca uwagę, że klasyczny model oceny oparty wyłącznie na wymuszaniu ustępstw jest zbyt wąski i nie przystaje do złożonej rzeczywistości.

W tym miejscu trzeba z całą stanowczością odrzucić jeden z najbardziej rozpowszechnionych i szkodliwych odruchów współczesnej debaty publicznej. Tym odruchem jest bezkrytyczne założenie, że widoczny ból przeciwnika stanowi wystarczający i ostateczny dowód powodzenia prowadzonej polityki. To założenie jest w swojej istocie prymitywne, choć niezwykle często występuje w bardzo wyrafinowanym, eksperckim kostiumie, mamiąc opinię publiczną słupkami strat wroga. Sankcja może niszczyć gospodarkę bez najmniejszego przekonywania decydentów do zmiany kursu, a nawet może uderzać w społeczeństwo bez żadnego dyscyplinowania elity władzy. Co gorsza, często wzmacnia ona narrację „oblężonej twierdzy", cementując poparcie dla autorytarnego reżimu, zamiast go osłabiać czy rozbijać od wewnątrz. Może ona wręcz przyspieszać reorganizację represyjnego aparatu, dając mu pretekst do jeszcze głębszej kontroli nad zasobami i obywatelami. W tym sensie współczesna polityka sankcyjna bywa tragicznie podobna do chirurga, który z nieskrywaną dumą pokazuje asystentom rozległość i precyzję swojego cięcia, ale zapomina zapytać, czy pacjent w ogóle przeżyje tę operację. Cóż za wzruszający profesjonalizm, chciałoby się rzec, patrząc na te wszystkie raporty o spadku PKB przeciwnika. Wszystko zostało przecież przecięte zgodnie z procedurą, zgodność z przepisami (compliance) się zgadza, a Excel świeci na czerwono, tylko rezultat końcowy okazał się mało satysfakcjonujący, bo pacjent przestał dawać oznaki życia. Przemoc, która przebrała się za procedurę, rzadko kiedy bywa skuteczna w budowaniu trwałego pokoju, bo polityka sankcji zbyt często myli cierpienie z posłuszeństwem. Nie każda przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze i posługiwać językiem licencji, stała się przez to cywilizowana czy choćby racjonalna. Brzmi to ostro? Być może, ale w świecie, gdzie administracyjna pewność siebie zastępuje rzetelną strategię, prawda musi mieć krawędzie, o które można się skaleczyć.

Blokadofobia: Jak sankcje zmieniają strategię przetrwania państw

Dramatyczną odpowiedzią na mit o wszechmocy restrykcji jest blokadofobia, czyli zespół strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie. To pojęcie, stanowiące jedno z najgłębszych osiągnięć interpretacyjnych Nicholasa Muldera, dowodzi bowiem, że sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia. Zamiast jedynie ograniczać bieżące możliwości, lęk ten trwale programuje wyobraźnię strategiczną elit, zmuszając je do porzucenia logiki rynkowej optymalizacji kosztów. Gdy w gabinetach zapada przekonanie o nadchodzącym uduszeniu gospodarczym, państwo przestaje być racjonalnym graczem, a staje się oblężoną twierdzą. Brzmi to jak scenariusz z minionej epoki? Być może, ale to właśnie ta logika napędza współczesne mechanizmy przetrwania.

W takim stanie umysłu poczucie zakleszczenia wypacza racjonalność, co prowadzi do desperackiego poszukiwania autarkii i militaryzacji polityki przemysłowej. Historia uczy nas, że w latach trzydziestych to właśnie ten lęk pchnął państwa rewizjonistyczne ku agresji i próbom siłowego zdobycia zasobów. Dziś wszak echo tamtych wydarzeń odnajdujemy w rozwoju alternatywnych kanałów handlowych oraz w celowej fragmentacji globalnych łańcuchów wartości. Przykładem jest rosyjska flota cieni (ang. shadow fleet), opisywana przez Parlament Europejski jako narzędzie omijania pułapów cenowych, która pozwala na skuteczne obchodzenie restrykcji. Przemoc, która przebrała się za procedurę, rzadko przynosi posłuszeństwo, częściej zaś rodzi kreatywność podszytą desperacją.

Sankcje: Cywilizowana fasada czy nowa gramatyka przemocy?

W tym miejscu dochodzimy do fundamentalnego zagadnienia neutralności, które w historii nowoczesnych sankcji nigdy nie stanowiło kwestii marginalnej czy czysto technicznej. Był to bowiem spór o samo serce nowoczesnego ładu, dotykający pytania, czy handel może pozostać sferą autonomiczną, czy też musi zostać ostatecznie wcielony do arsenału polityki bezpieczeństwa. Zastanawiamy się wszak, czy państwo trzecie zachowuje prawo do bezstronności gospodarczej, czy też w świecie gęstych współzależności neutralność staje się jedynie eufemizmem dla cichego współudziału. Ostatecznie po 1945 roku zwyciężyła logika sankcjonizmu, czyli doktryny uznającej, że w zintegrowanej gospodarce każdy przepływ handlowy jest narzędziem politycznym, a czysta

neutralność po prostu nie istnieje. Niemniej jednak to zwycięstwo nie było całkowite, co widać w dzisiejszych napięciach między suwerennością a globalnym nadzorem finansowym.

Współczesne spory o zasięg eksterytorialny, o sankcje wtórne czy o obowiązki pośredników finansowych stanowią jedynie nową mutację tego samego, zadawnionego konfliktu o granice władzy. Unia Europejska na swoich oficjalnych stronach z niemal nabożną starannością podkreśla, że jej restrykcje są w pełni zgodne z prawem międzynarodowym i zawierają liczne wyjątki humanitarne. Deklaruje się wszak, że te działania nie mają uderzać w podstawowe potrzeby ludności cywilnej, lecz jedynie korygować zachowania agresywnych reżimów. Samo to nieustanne uzasadnianie ma kolosalne znaczenie polityczne, gdyż obnaża fakt, że nowoczesne reżimy sankcyjne funkcjonują stale na niebezpiecznej granicy legalnej konieczności oraz moralnej podejrzliwości. W epoce nowoczesnej nic nie bywa bowiem bardziej groźne niż administracyjna pewność własnej cnoty, która przesłania realne koszty ludzkie podejmowanych decyzji.

Właśnie z tego powodu komponent pozytywny, rozumiany jako ścisłe połączenie presji z realną pomocą, okazuje się elementem o znaczeniu wręcz egzystencjalnym dla trwałości porządku. Historia uczy nas brutalnie, że sama deprywacja, czyli odcinanie od zasobów, nie jest w stanie zbudować stabilnego ładu międzynarodowego, lecz najwyżej dyscyplinę tymczasową lub chaos. Trwały porządek wymaga bowiem nie tylko karania winnych, ale również aktywnego zasilania, ochrony i systematycznej odbudowy strony, która padła ofiarą agresji. Jest to lekcja, którą okres międzywojenny rozumiał wyjątkowo słabo, natomiast druga wojna światowa przyswoiła sobie w sposób niezwykle praktyczny i bolesny. Bez zrozumienia, że sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia, pozostajemy uwięzieni w jałowym moralizatorstwie.

Program Lend-Lease stanowił w tym kontekście prawdziwy triumf pozytywnej broni gospodarczej, czyli podejścia polegającego na zasilaniu i ochronie sojuszników zamiast wyłącznie głodzenia przeciwnika. Nie ograniczano się wówczas jedynie do osłabiania machiny wojennej wroga, ale przede wszystkim potężnie zasilano zasobami tych, którzy mieli przetrwać, zwyciężyć i odbudować świat. Współczesne systemy sankcyjne próbują rozpaczliwie internalizować tę naukę poprzez skomplikowane mechanizmy, takie jak licencje, wyłączenia czy równoległe programy wsparcia technicznego. ONZ, Unia Europejska oraz amerykański OFAC nieprzypadkowo rozbudowały tak zwane humanitarne carve-outs, czyli praktykę polegającą na wyłączaniu z reżimu sankcyjnego dóbr podstawowych, co pozwala zachować pozory etyki w samym sercu blokady. Niemniej jednak spójrzmy prawdzie w oczy: to nadal pozostaje jedynie skromną korektą narzędzia, którego natura jest z gruntu negatywna i destrukcyjna.

Dojrzała strategia wymaga bowiem czegoś znacznie więcej niż tylko biurokratycznego zarządzania wyjątkami w tabelach Excela czy procedurach compliance. Wymaga ona sprzężenia bezwzględnej

presji z budową realnych zdolności przetrwania ofiary, z aktywną ochroną jej podstawowych potrzeb oraz z precyzyjnym projektowaniem powojennej stabilizacji. Bez tego rodzaju holistycznego podejścia sankcje pozostają często jedynie elegancko zarządzaną deprywacją, która uspokaja sumienia decydentów, nie zmieniając przy tym tragicznego położenia ludzi na dole. Recepcja współczesna tych narzędzi potwierdza głęboką ambiwalencję, w której z jednej strony sankcje są kluczowym instrumentem polityki, a z drugiej budzą rosnący lęk. W analizach akademickich coraz częściej mówi się o ryzyku chilling effect, czyli zjawisku polegającym na paraliżującym strachu instytucji przed jakimkolwiek kontaktem z rynkiem objętym restrykcjami.

Mówiąc brutalnie i bez zbędnych upiększeń, współczesny świat wcale nie porzucił broni gospodarczej, lecz po prostu stał się od niej jeszcze bardziej patologicznie zależny. Jednocześnie rośnie świadomość, że ta broń jest znacznie mniej czysta i sterylna, niż obiecywała to niegdyś jej naiwna, liberalna ideologia. Właśnie tutaj publicystyka „Dobre Państwo" okazuje się tak istotna, ponieważ trafnie rozpoznaje ducha epoki, w której technologia staje się nowym polem bitwy. Teksty o wojnie o chipy pokazują dobitnie, że współczesny konflikt nie rozgrywa się wyłącznie w błocie i za pomocą czołgów, lecz w maszynach litograficznych i standardach eksportowych. Geoekonomia, czyli praktyka polegająca na wykorzystywaniu narzędzi ekonomicznych i kontroli technologii do budowania przewagi strategicznej, stała się nową gramatyką globalnej rywalizacji o dominację.

Tekst o technicznej neutralności biurokracji przypomina nam z kolei, że nowoczesna przemoc uwielbia przedstawiać się jako chłodna, bezosobowa procedura administracyjna. Jest to dokładnie ta sama intuicja, którą odnajdujemy w genealogii sankcji: przemoc wcale nie zniknęła z naszego świata, ona jedynie zmieniła swoje medium. Czasem płynie ona w stalowym kontenerze, czasem w cyfrowym przelewie, a niekiedy w kodzie źródłowym lub w lakonicznej odmowie wydania licencji eksportowej. Kiedyś na jej dziobie stał potężny pancernik, budzący grozę samą swoją obecnością na horyzoncie, dziś natomiast siedzi za nią prawnik compliance i analityk ryzyka. Elegancja kostiumu czy nienagannych manier urzędnika nie zmienia wszak w najmniejszym stopniu brutalnej natury samego działania, które uderza w tkankę społeczną przeciwnika.

Dlatego też najuczciwsza konkluzja musi być jednocześnie surowa, rzeczowa i całkowicie wolna od niepotrzebnej histerii czy moralnego wzmożenia. Sankcje nie są ani cudownym lekarstwem liberalnego ładu, ani wyłącznie jałowym teatrem odgrywanym na potrzeby mediów i oburzonej opinii publicznej. Są one realnym, twardym narzędziem przymusu, które wyrasta z mrocznej historii blokad morskich i działa poprzez mechanizm uzbrojonej współzależności. Często produkują one ogromne, nieprzewidziane skutki uboczne, przy czym kluczowe staje się rozróżnienie między skutkami a skutecznością, czyli dystansem dzielącym wywołanie strat gospodarczych od realnego zmuszenia przeciwnika do zmiany polityki. Pozostają jednak politycznie atrakcyjne dla państw,

które pragną karać i dyscyplinować innych bez konieczności pełnego, krwawego wejścia w otwartą wojnę kinetyczną.

Właśnie z tego powodu musimy analizować te mechanizmy bez złudzeń, nie pozwalając sobie na ich fetyszyzowanie ani na infantylne, emocjonalne odrzucenie. Trzeba je odczytywać w całej ich przerażającej złożoności, uwzględniając prawo, ekonomię, logistykę, a także psychologię oblężenia i etykę odpowiedzialności. Najmocniejsza teza, którą warto tutaj wyostrzyć, brzmi następująco: broń gospodarcza nie jest bezkrwawą, czystą alternatywą dla tradycyjnej wojny. Jest ona raczej sposobem, w jaki wojna nauczyła się funkcjonować wewnątrz świata, który pragnie mówić o sobie językiem rynku i humanitaryzmu. Kto tego nie rozumie, ten będzie nadal mylił administracyjną sprawność z niewinnością, nie dostrzegając krwi na marginesach urzędowych raportów i tabel statystycznych.

Kto jednak to pojmuje, ten przestanie zachwycać się rzekomą sterylnością sankcji i zacznie zadawać pytania naprawdę dojrzałe, dotykające sedna politycznej odpowiedzialności. Kto ponosi realny koszt tych decyzji, kto zyskuje cenny czas, a kto adaptuje się do nowej rzeczywistości szybciej niż zakładali to planiści? Czy nie mylimy przypadkiem zadawanego bólu z politycznym sukcesem i czy nie budujemy sobie moralnego komfortu kosztem cudzego, odległego cierpienia? Polityka sankcji zbyt często myli bowiem cierpienie z posłuszeństwem, zakładając błędnie, że deprywacja automatycznie prowadzi do uległości wobec naszych słusznych żądań. Musimy mieć wreszcie odwagę przyznać, że polityka gospodarcza bywa po prostu inną, bardziej zawoalowaną gramatyką przemocy, która nie potrzebuje prochu, by niszczyć.

Gdybyśmy mieli zamknąć ten wywód jedną przypowieścią, brzmiałaby ona następująco: pewne mocarstwo uznało kiedyś, że nie chce już prowadzić brudnych wojen. Postanowiło więc zastąpić miecz księgą zakazów, wierząc, że papierowe restrykcje są bardziej cywilizowane niż stalowe bagnety i huk armat. Szybko jednak odkryło, że księga zakazów też potrafi głodzić, przerażać i pchać całe społeczeństwa do ostatecznej, samobójczej desperacji. Wtedy dopisało do niej obszerny dział o wyjątkach humanitarnych, aby sumienie decydentów mogło spać spokojniej w blasku fleszy i kamer. A kiedy wreszcie zasnęło, świat obudził się bardziej pofragmentowany i niebezpieczny niż kiedykolwiek wcześniej w swojej nowożytnej historii. Morał jest prosty: nie każda przemoc, która nauczyła się chodzić w garniturze, stała się cywilizowana; niektóre po prostu lepiej ukrywają plamy.

Sankcje: Gdy wojna przybiera garnitur księgowego

Istnieje pewien niezwykle kojący, niemal luksusowy mit, którym współczesny człowiek w epoce wszechobecnych platform cyfrowych lubi opatulać się niczym ciężkim, wełnianym kocem w

listopadowy wieczór. Ów mit głosi, że polityka to jedynie nużący teatr starszych ludzi w źle skrojonych garniturach, odgrywany w odległych, marmurowych gmachach. My przecież mamy swoje życie: starannie wyselekcjonowane memy, ambitną pracę, studia, skomplikowane relacje, muzykę płynącą z chmury i algorytmy, które znają nas lepiej niż my sami. Wszystko wydaje się godne uwagi, byle tylko nie zaglądać za kulisy tego sejmowego kabaretu, nie słuchać jałowych konferencji prasowych i nie patrzeć na twarze, które sprawiają wrażenie, jakby narodziły się wewnątrz prezentacji w PowerPoincie. Brzmi to nad wyraz nowocześnie i daje złudne poczucie wolności, lecz w rzeczywistości jest to przywilej kogoś, kto jeszcze nie dostrzegł, że polityka dawno już opuściła parlamentarne ławy. Ona rozgościła się w twojej lodówce, przeniknęła do rachunków za prąd, zainfekowała aplikację bankową i ukryła się w cenie paliwa na pobliskiej stacji.

Nicholas Mulder w swoich analizach opisuje zjawisko, które powinno rozbić ten komfortowy sen w drobny mak, obnażając brutalną prawdę o naszych czasach. Nowoczesna polityka nie musi już bowiem zawsze uderzać z hukiem armat, gdyż nauczyła się dusić swoje ofiary cicho, elegancko i w sposób całkowicie zbiurokratyzowany. Robi to z kamienną twarzą urzędnika, który z beznamiętnym spokojem twierdzi, że jedynie „wdraża niezbędne środki" lub „zapewnia zgodność z procedurami". To być może najbardziej przerażający wynalazek nowoczesności: przemoc, która przebrała się za jałową procedurę, i wojna, która przybyła na spotkanie w nienagannym garniturze księgowego. Neutralność techniczna biurokracji, czyli forma nowoczesnej przemocy instytucjonalnej polegająca na tworzeniu barier proceduralnych uniemożliwiających normalne funkcjonowanie, staje się tu narzędziem ostatecznym. Widzimy głód podpisany piórem urzędnika, który po skończonej pracy wraca do domu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, przekonany, że przecież nikogo nie zbombardował.

Właśnie w tym miejscu zaczyna się nasz prawdziwy problem z percepcją współczesnych konfliktów, ponieważ od dziecka karmieni jesteśmy obrazami wojny jako starcia czołgów, rakiet i widowiskowych eksplozji. Mulder tymczasem serwuje nam coś znacznie bardziej niewygodnego, twierdząc, że dzisiejsza wojna może wyglądać jak nagłe odcięcie od globalnego handlu lub zamrożenie aktywów w zagranicznym banku. Może przybrać formę zakazu eksportu kluczowych technologii, blokady łańcuchów dostaw czy nagłego braku podstawowych leków w aptekach. To także galopująca inflacja żywności i narodowa waluta, która tonie w oczach, sprawiając, że cały kraj nie może kupić tego, bez czego zaczyna się powolne duszenie społeczeństwa. Wtedy nagle okazuje się, że to, co w mediach nazywano „pokojowym naciskiem", jest w istocie totalną wojną przeniesioną w krwiobieg towarów, pieniędzy oraz informacji. Brzmi to ostro i bezlitośnie. Dobrze, bo właśnie tak ma brzmieć, by wyrwać nas z letargu.

Historyczne korzyści z takich rozwiązań są oczywiste dla strategów, gdyż Mulder wykazuje, że sankcje wcale nie narodziły się jako cywilizowane narzędzie ludzi dobrej woli. Wręcz przeciwnie, wyrosły one bezpośrednio z logiki blokady wojennej i średniowiecznego pomysłu na oblężenie, gdzie nie trzeba szturmować murów, jeśli można odciąć miasto od źródeł życia. Najpierw stworzono potężną machinę blokadową wielkiej wojny, opartą na kontroli ubezpieczeń, czarnych listach przewoźników i biurokratycznym nadzorze nad kablami telegraficznymi. Potem nastąpił moment genialny i moralnie niebezpieczny zarazem, gdy uznano, że tę samą niszczycielską logikę można stosować również w czasie rzekomego pokoju. Tak narodził się sankcjonizm, czyli doktryna uznająca, że w zintegrowanej gospodarce każdy przepływ handlowy jest narzędziem politycznym, a neutralność po prostu nie istnieje. Był to polityczny „hack" stulecia, pozwalający używać skrajnej przemocy bez formalnego wypowiadania wojny i karać całe narody pod sztandarem obrony ładu międzynarodowego.

Jeśli dzisiaj żyjesz głównie w przestrzeni cyfrowej, powinieneś zrozumieć, że sankcja jest dla państwa tym samym, czym ban lub shadowban dla użytkownika wielkiej platformy społecznościowej. Nie chodzi tu o zwykłą różnicę zdań czy dyplomatyczny spór, lecz o sytuację, w której ktoś potężniejszy po prostu wyłącza ci możliwość jakiegokolwiek działania w systemie. Nagle nie możesz kupić, sprzedać, przesłać środków ani nawet zaktualizować oprogramowania w maszynach, które napędzają twoją gospodarkę. Jesteś nadal fizycznie obecny na mapie, ale globalna architektura wykluczenia sprawia, że system przestaje cię rozpoznawać i wpuszczać do środka. To nie jest zaproszenie do dialogu ani merytoryczny argument w sporze, lecz brutalne wykorzystanie infrastruktury do wyeliminowania przeciwnika z gry. W epoce nowoczesnej nic nie bywa przecież bardziej groźne niż administracyjna pewność własnej cnoty połączona z technologiczną dominacją.

Bajka o tym, że wielka polityka cię nie dotyczy, jest w swojej naiwności tak śmieszna, że aż staje się śmiertelnie niebezpieczna dla twojej przyszłości. Dzisiejsza geoekonomia, czyli wykorzystywanie narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi strategicznej, sprawia, że polityka nie przychodzi do ciebie jako głośna ideologia, lecz jako interfejs aplikacji. Objawia się jako nagły brak dostępności towaru, spowolnienie technologiczne twojego kraju czy zawieszenie konta, którego używałeś do pracy. To wojna o chipy, o rzadkie minerały, o bezpieczeństwo energetyczne i o to, czy twoje zboże dotrze do portów, zanim zgnije w silosach. Każda oferta pracy, która znika z rynku, bo dany sektor został właśnie przemodelowany przez geopolityczne napięcia, jest odłamkiem w tej niewidzialnej bitwie. Nie każda przemoc, która nauczyła się chodzić w nienagannym garniturze, stała się przez to cywilizowana lub mniej bolesna dla tych, w których uderza.

Prezydent Woodrow Wilson wierzył niegdyś z niemal religijną żarliwością, że sankcje mogą stać się narzędziem potężniejszym i skuteczniejszym niż jakakolwiek konwencja wojenna. W jednym sensie miał bez wątpienia rację, choć nie była to racja natury moralnej, lecz czysto technicznej. Sankcje są potężniejsze nie dlatego, że są bardziej szlachetne od bomb, ale dlatego, że pozostają znacznie lepiej ukryte przed wzrokiem postronnego obserwatora. Kiedy widzisz eksplozję, instynktownie wiesz, że stało się coś strasznego, ale kiedy obserwujesz powolne załamanie systemu dostaw i pustkę w portfelach, trudniej wskazać winnego. To właśnie jest ta nowoczesna, przewrotna przewaga rozproszonej formy przemocy, która uderza precyzyjnie, nie generując przy tym jednego, wielkiego huku. Dzięki temu znacznie łatwiej jest ją sprzedać opinii publicznej jako rozwiązanie „czyste", „humanitarne" i pozbawione rozlewu krwi, co jest oczywistym fałszem.

Nicholas Mulder ostatecznie rozbija ten mit sterylności, pokazując, że sankcje rzadko bywają łagodną alternatywą dla konfliktu zbrojnego, będąc raczej jego miękką, administracyjną wersją. One nie zabijają w sposób widowiskowy, który nadawałby się do wieczornych wiadomości, lecz robią to systemowo, po cichu i w sposób rozciągnięty w czasie. Ofiary tej formy agresji rzadko trafiają do viralowych klipów w mediach społecznościowych, ponieważ ich cierpienie ukryte jest w suchych statystykach demograficznych i raportach o spadku PKB. Polityka sankcji zbyt często myli cierpienie z posłuszeństwem, zakładając błędnie, że zdesperowane społeczeństwo zmusi swoich liderów do uległości. W rzeczywistości jednak takie działania często wywołują blokadofobię, czyli zespół strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie, co paradoksalnie popycha je do jeszcze większej agresji. Musimy więc przestać patrzeć na ekonomiczne restrykcje jak na niewinną grę księgowych, bo w rzeczywistości jest to najprawdziwsza wojna, tylko prowadzona za pomocą innych, bardziej wyrafinowanych narzędzi.

Pułapka sankcji: Dlaczego ból nie oznacza skuteczności

Nicholas Mulder wprowadza rozróżnienie, które powinno stać się elementarzem dla każdego, kto aspiruje do merytorycznej dyskusji o geopolityce bez powielania medialnych komunałów. Chodzi o dychotomię między skutkami a skutecznością, czyli rozróżnienie między wywołaniem strat gospodarczych a zmuszeniem przeciwnika do zmiany polityki. Sankcje mogą bowiem generować potężne efekty uboczne, takie jak rozbicie struktur rynkowych, wywołanie paniki finansowej czy powszechnej biedy, a jednocześnie pozostawać całkowicie bezużyteczne w sferze decyzyjnej. To brutalna, lecz uczciwa diagnoza, ponieważ współczesna propaganda z upodobaniem myli te dwa porządki, sugerując, że skoro system przeciwnika krwawi, to cel został osiągnięty. Polityka sankcji zbyt często myli cierpienie z posłuszeństwem, zapominając, że ból nie jest tożsamy z kapitulacją.

W tym miejscu kończy się infantylna wiara w „dobrą presję", a zaczyna analiza dojrzała, wymagająca zadawania pytań skrajnie niewygodnych dla politycznych jastrzębi. Musimy zapytać, kto w rzeczywistości płaci najwyższą cenę za te restrykcje i jak elity władzy adaptują się do nowych, surowych warunków egzystencji. Zamiast oczekiwanego buntu, często obserwujemy proces, w którym cierpienie społeczne staje się paliwem dla agresywnego nacjonalizmu i konsolidacji wokół lidera. Reżimy potrafią mistrzowsko wykorzystywać narrację o oblężonej twierdzy, przekuwając niedobory w dowód na zewnętrzną agresję, co paradoksalnie umacnia ich legitymację w oczach zdesperowanych obywateli. Jest to forma przemocy, która nauczyła się chodzić w garniturze procedur, generując opowieść o wspólnym losie pod presją obcych mocarstw.

Kolejnym kluczowym pojęciem jest blokadofobia, czyli zespół strategicznych wyobrażeń, w których państwo postrzega przyszłe odcięcie od handlu jako egzystencjalne zagrożenie dla swojego bytu. Nie jest to zwykły lęk przed przejściowym ubożeniem, lecz głęboka trauma państwowa związana z wizją całkowitego uduszenia technologicznego i surowcowego. Gdy strach przed brakiem paliwa, zboża czy kredytu zainfekuje umysły elit, logika handlowa zostaje natychmiast zastąpiona przez logikę przetrwania w warunkach oblężenia. Zamiast szukać kompromisu, państwo zaczyna gorączkowo dążyć do autarkii i zbrojeń, uznając, że każda forma zależności od świata jest potencjalnym narzędziem szantażu. W takim stanie umysłu elity przestają kalkulować zyski, a zaczynają zarządzać paranoją, co czyni je nieprzewidywalnymi i skłonnymi do ryzyka.

Dochodzimy tu do najgorszego paradoksu nowoczesnej dyplomacji, w którym narzędzie mające powstrzymywać wojnę staje się w istocie akceleratorem logiki militarnej. Historia pokazuje, że państwo przekonane o nieuchronności powolnej degradacji może wybrać gwałtowne starcie teraz, zamiast godzić się na systematyczne duszenie w przyszłości. Sankcje, projektowane jako policyjne środki dyscyplinujące, kończą jako katalizator paranoi strategicznej, popychając zdesperowanych aktorów do uderzeń wyprzedzających. To nie jest teoria spiskowa, lecz mechanizm psychologii politycznej, gdzie administracyjna pewność własnej cnoty uniemożliwia dostrzeżenie, jak pętla restrykcji zacieśnia się na szyi pokoju. Zamiast stabilizacji, otrzymujemy system, który premiuje agresję jako jedyną ucieczkę przed powolną śmiercią ekonomiczną.

Jeśli ktoś sądzi, że to jedynie zakurzone teorie z podręczników historii o czarno-białym świecie, powinien uważniej przyjrzeć się współczesnym mapom konfliktów. Dzisiejsza rzeczywistość nie odeszła od logiki Muldera, lecz poddała ją gruntownej modernizacji, przenosząc fronty walki w obszary dotąd uznawane za neutralne. Obserwujemy wojny o półprzewodniki, korytarze transportowe, standardy sztucznej inteligencji oraz dostęp do kluczowych węzłów finansowych, które decydują o przetrwaniu nowoczesnych gospodarek. Geoekonomia, czyli wykorzystywanie narzędzi ekonomicznych do budowania trwałej przewagi strategicznej, stała się nową formą

prowadzenia działań wojennych bez użycia prochu. Współczesna sankcja to już nie tylko zakaz handlu, lecz precyzyjne odcięcie od infrastruktury, która stanowi układ nerwowy dzisiejszego świata.

W tej nowej architekturze dominacji neutralność techniczna biurokracji, czyli forma nowoczesnej przemocy instytucjonalnej polegająca na tworzeniu barier proceduralnych, pozwala na realizację celów politycznych bez bezpośredniego przymusu. To już nie jest geopolityka mierzona zasięgiem rakiet, lecz geopolityka infrastruktury, decydująca o tym, czy dany naród będzie się rozwijał, czy powoli dławił w izolacji. Każdy przepływ danych, każda transakcja finansowa i każda aktualizacja oprogramowania mogą zostać w mgnieniu oka przekształcone w broń o niszczycielskiej sile. Musimy zrozumieć, że w tak zintegrowanym świecie sankcja nie jest po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia, który rzadko prowadzi do pokoju. Zrozumienie tej brutalnej prawdy jest pierwszym krokiem do wyjścia z pułapki, w której ból mylimy ze skutecznością.

Sankcje jako niewidzialna architektura współczesnej wojny

Uporczywie twierdzisz, że wielka polityka cię nie dotyczy. Nie rozśmieszaj historii, gdyż ona doskonale wie, że dopada cię dokładnie tam, gdzie najbardziej lubisz celebrować swoją rzekomą niezależność. Twoja wolność kończy się w algorytmie feedu, w koszyku zakupowym, w codziennej pracy i w każdej kolejnej pensji, którą odbierasz. To polityka decyduje, czy technologia stanowiąca naturalne tło twojego życia pozostanie dostępna, czy może stanie się reglamentowanym towarem luksusowym. Od niej zależy, czy internet przetrwa jako otwarta przestrzeń, czy zmieni się w pole nowego feudalizmu infrastrukturalnego, w którym będziesz jedynie poddanym. Ostatecznie sprowadza się to do pytania, czy twoje państwo będzie w tej grze podmiotowym węzłem, czy jedynie ofiarą cudzej blokady.

Nicholas Mulder, analizując mechanizmy presji międzynarodowej, sformułował niezwykle trafną intuicję dotyczącą atrakcyjności współczesnych restrykcji gospodarczych. Sankcje są politycznym narkotykiem, ponieważ pozwalają elitom sprawiać wrażenie zdecydowanych i nieugiętych bez ponoszenia pełnych, krwawych kosztów tradycyjnej wojny. To ich najgłębszy sekret i zarazem najbardziej niebezpieczna pokusa. Państwo może dumnie ogłosić, że reaguje, karze agresora i broni uniwersalnych norm, nie musząc przy tym wysyłać własnej armii na front. Dla opinii publicznej takie rozwiązanie jest niezwykle wygodne, dla klasy politycznej jeszcze bardziej, a dla zbiorowego sumienia bywa wręcz kojące. Sankcja nie jest bowiem po prostu aktem zakazu, lecz aktem redystrybucji cierpienia.

W tym miejscu musimy zdobyć się na brutalną szczerość i przyznać, że znaczna część nowoczesnej moralności międzynarodowej to po prostu estetyka czystych rąk. Chcemy wierzyć, że stoimy po stronie dobra, ale pod warunkiem, że ciężar bólu i wyrzeczeń zostanie przesunięty gdzieś daleko poza nasz horyzont. Sankcje wpisują się w tę potrzebę perfekcyjnie, dając nam obraz stanowczości bez konieczności oglądania własnych żołnierzy powracających w trumnach. Oferują one złudną możliwość uczestnictwa w konflikcie bez poczucia, że naprawdę przekroczyło się próg wojny. Dają nam komfort potępienia zła bez płacenia za to całkowitej ceny, co czyni je narzędziem niemal niemożliwym do odrzucenia. Jednak ten specyficzny rodzaj komfortu jest z natury moralnie podejrzany i wymaga od nas krytycznej czujności.

Jeśli należysz do pokolenia żyjącego online, powinieneś być szczególnie wyczulony na fakt, że systemy o największym wpływie działają zazwyczaj w sposób najmniej widowiskowy. Algorytm nie musi przecież krzyczeć ani stosować przemocy, aby skutecznie zarządzać twoją uwagą. Platforma cyfrowa nie musi cię brutalnie wyrzucać, by cię uciszyć; wystarczy, że odpowiednio zmodyfikuje parametry widoczności twoich treści. Podobnie dojrzała władza państwowa nie potrzebuje bombardowań, by ustawić cię w szeregu i narzucić ci określoną logikę gospodarczą. Mulder opisuje proces dojrzewania takiej właśnie władzy, która realizuje swoje cele poprzez architekturę wyboru i kontrolę przepływów. To przemoc, która przebrała się za procedurę.

Dlatego właśnie ten temat nie jest jedynie nudnym przypisem do historii dyplomacji, lecz stanowi realną instrukcję obsługi świata, w którym przyszło nam żyć. Znajdujemy się w rzeczywistości, w której przemoc coraz rzadziej przypomina plakat rekrutacyjny, a coraz częściej przybiera formę niewidzialnej infrastruktury. W takim świecie możesz stać się celem wielkiej polityki nawet wtedy, gdy wydaje ci się, że jesteś tylko anonimowym użytkownikiem sieci. Zboże, ropa, mikroprocesory, kable podmorskie i standardy eksportowe stają się tak samo polityczne jak flaga czy hymn. Neutralność w takim układzie staje się luksusem, a globalna współzależność może zostać w każdej chwili zamieniona w cyfrowe kajdanki. To jest fundament sankcjonizmu, czyli przekonania, że w zintegrowanej gospodarce każdy przepływ handlowy jest potencjalnym narzędziem walki.

Najważniejsze jest jednak to, aby po lekturze analiz Muldera nie wpadać w pułapkę prostych dychotomii i nie krzyczeć, że sankcje są zawsze zbrodnicze. Taka postawa byłaby jedynie dziecinną odwrotnością dawnej naiwności, która w ekonomicznych restrykcjach widziała magiczne lekarstwo na całe zło świata. Chodzi o coś znacznie trudniejszego: o to, by przestać być ofiarą cudzych uproszczeń i zrozumieć, że sankcje są realnym, choć niedoskonałym narzędziem władzy. Mogą być one politycznie niezbędne, a jednocześnie moralnie skażone; mogą ograniczać agresora, ale też wzmacniać w nim niebezpieczną, oblężoną mentalność. Dorośli ludzie powinni potrafić wytrzymać

taki paradoks. Zrozumienie tej dwuznaczności jest pierwszym krokiem do odzyskania podmiotowości w świecie zdominowanym przez niewidzialne naciski.

Zamiast więc powtarzać, że polityka cię nie interesuje, spróbuj zdobyć się na znacznie uczciwszą wersję tego stwierdzenia. Przyznaj, że polityka już dawno cię urządziła, nawet jeśli wciąż udajesz przed samym sobą, że jej wpływy cię nie dosięgają. Takie postawienie sprawy przynajmniej nie obraża twojej inteligencji. Pamiętaj, że w dwudziestym pierwszym wieku nikt nie musi przychodzić po ciebie z karabinem, abyś dotkliwie odczuł skutki toczącej się wojny. Wystarczy, że ktoś przejmie kontrolę nad twoją infrastrukturą, dostępem do usług lub obiegiem informacji, który traktujesz jako oczywistość. Kiedy te systemy przestają działać, nagle okazuje się, że najbardziej polityczne było właśnie to, co wcześniej wydawało się całkowicie neutralne. Wojna nigdy nie odeszła; ona po prostu nauczyła się znacznie lepiej wyglądać.

> Sankcje nie są bezkrwawą alternatywą dla wojny, lecz sposobem, w jaki wojna nauczyła się przetrwać w świecie, który pragnie słyszeć tylko o handlu i prawie. Pytanie brzmi: czy zdołamy dostrzec krew na marginesach urzędowych arkuszy, zanim nasza administracyjna pewność siebie ostatecznie oślepi nas na realne skutki naszych działań? Może w epoce, w której przemoc nauczyła się chodzić w garniturze, największym wyzwaniem jest odwaga, by nazwać ją po imieniu.

Inspiracje

[1] **"The Economic Weapon"** Nicholas Mulder

2022 | Yale University Press | ISBN: 978-0300259360

Nicholas Mulder jest wybitnym historykiem i adiunktem historii nowożytnej Europy na Uniwersytecie Cornella. Specjalizuje się w historii stosunków międzynarodowych, ekonomii politycznej i rozwoju globalnego zarządzania w XX wieku. Mulder jest najbardziej znany ze swojej uznanej przez krytyków pracy „The Economic Weapon: The Rise of Sanctions as a Tool of Modern War" (2022), która śledzi ewolucję sankcji gospodarczych od okresu międzywojennego do dnia dzisiejszego. Jego badania zgłębiają, w jaki sposób liberalny porządek międzynarodowy przekształcił przymus ekonomiczny w rzekomo pokojowy instrument sztuki rządzenia, ujawniając ukrytą przemoc inherentną biurokratycznym systemom kontroli. Jego prace spotkały się z szerokim uznaniem za rzetelną analizę archiwalną i głęboki wpływ na współczesne debaty dotyczące skuteczności i moralności międzynarodowych reżimów sankcji w coraz bardziej powiązanej gospodarce globalnej.

Nicholas Mulder *is a prominent historian and assistant professor of modern European history at Cornell University. He specializes in the history of international relations, political economy, and the development of global governance in the 20th century. Mulder is best known for his critically acclaimed work, 'The Economic Weapon: The Rise of Sanctions as a Tool of Modern War' (2022), which traces the evolution of economic sanctions from the interwar period to the present day. His research explores how the liberal international order transformed economic coercion into a supposedly peaceful instrument of statecraft, revealing the hidden violence inherent in bureaucratic systems of control. His work has been widely recognized for its rigorous archival research and its profound impact on contemporary debates regarding the efficacy and morality of international sanctions regimes in an increasingly interconnected global economy.*

Cornell University

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 6b8f19ac-fb15-452c-9f36-a4db24685a32